WTOREK
Nr 93 7.VIII.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

AUTOPORTRET Z MAKAMI

Wśród tego wspaniałego kwietnego łanu sfotografowała się **Maria Duch z Torunia**. Coraz więcej zdjęć nadsyłają nam Czytelnicy, więc... czekamy na następne!**(tok)**

KLAN

TU KONKURS 49

KOMUNIKAT NR 5

W naszym Konkursie 49 w dalszym ciągu prowadzi woj. tarnowskie 107 punktów, przed woj. łomżyńskim 44 pkt. i woj. białostockim 26 pkt. Dalsze miejsca zajmują woj. przemyskie 25 pkt. i zamojskie 10 pkt.

Czekamy na meldunki od Twojego zastępu. Może właśnie one zdobędą punkty dla waszego województwa. Liczy się pierwszych pięćdziesiąt meldunków z realizacji Zadania Specjalnego.

Cześć
Szef KLAN

UWAGA! Dziś Zadanie Specjalne nr 8, Klub Szperaczy i KS „Przygoda"

NADMORSKIE LASY POD OCHRONĄ HARCERZY

SŁUPSK (HSI). Liczne rzesze harcerzy przebywających corocznie na wakacyjnych zgrupowaniach na Wybrzeżu Słupskim podejmują prace społeczno-użyteczne na rzecz ochrony przyrody. W tym roku tylko w pasie lasów nadmorskich, w okolicach Jarosławca, Rowów, Ustki, Poddębia i Łeby, wypoczywać będzie na obozach ponad 25 tys. harcerzy. Przeprowadzają oni zabiegi pielęgnacyjne w młodych lasach, porządkują lasy ochronne strefy pasa nadmorskiego, patrolują tereny Słowińskiego Parku Narodowego.

1500 harcerzy wyraziło chęć udziału w akcji wakacyjnej „Słupia-79". Do 20 sierpnia reprezentacje wszystkich obozów letnich pracować będą przy zagospodarowaniu terenów leśnych wokół Słupska, pełniących rolę rekreacyjną. Harcerze urządzają ścieżki zdrowia, usuwają zbędne zarośla i gałęzie, pomagają służbom zieleni miejskiej w zadrzewianiu i zakładaniu zieleńców.**(aw)**

Moje Wakacje

- **Uwaga! Ponawiamy apel!**
- **Zostań fotoreporterem!**
- **Jeszcze raz przeczytaj dokładnie warunki konkursu!**
- **Poprzednio podawaliśmy je w 69 „ŚM"!**
- **Konkurs fotograficzny „Świata Młodych" i „Polifoto" pt. Moje Wakacje – trwa! Dokładne warunki konkursu – str. 7**

NIEUSTAJĄCY KONKURS
NA NAJLEPSZĄ KORESPONDENCJĘ TRWA!
ŻEBY NIE ZAGROZIŁ „CZERWONY KUR"
– TO TYTUŁ NAJLEPSZEJ INFORMACJI
W 88 NUMERZE!

Ala Godlewska z Drewnowa otrzyma godła państw

Jury za najlepszą korespondencję wydrukowaną w 88 numerze „ŚM" uznało informację nadesłaną przez zastępową NAL-owskiego zastępu z Drewnowa – Alę Godlewską. Ala opisała w niej pracę zastępu na rzecz walki z zagrożeniem pożarowym. Gratulujemy Ali zwycięstwa, a zastępowi życzymy dalszej ciekawej i pożytecznej pracy. Przypominamy – nie nadsyłajcie na nasz konkurs anonimów ani historii zmyślonych. Czekamy na Wasze korespondencje wprost z życia.**(wm)**

„Hej, ode wsi do miasta,
Hej, gościniec prowadzi.
Witajcie kochani, witajcie kochani
I bądźcie dla nas radzi!"

– tą przyśpiewką ludową rajdowcy – członkowie dwóch zespołów folklorystycznych: „Kukułek podlaskich" i „Jutrzenki" witali delegatów przybywających do chełmskiego miasteczka Zlotu Młodych Przodowników Pracy, Nauki i Wyszkolenia Bojowego. Odbywające się tuż przed lipcowym świętem spotkanie miało szczególny charakter. Obok 500 reprezentantów młodzieży województwa chełmskiego – wyróżniających się w nauce, pracy i działalności społecznej dziewcząt i chłopców przybyło na Zlot 250 delegatów z całego kraju, jak też wołyńscy komsomolcy z I sekretarzem OK WLKZM w Łucku, Borysem Soroką. Gości z ZSRR przyjmowaliśmy również w naszym obozie.

Wspólnie z uczestnikami Zlotu braliśmy udział w wieczornym karnawale młodości. Na estradzie zbudowanej na boisku Zespołu Szkół Budowlanych wystąpili znani wykonawcy, tacy jak Ewa Adamiak, Andrzej Poniedzielski, „Grupa Pana Antka", kabaret „Pająk" czy krakowscy „Delegaci".

Pełen niezapomnianych wrażeń dzień zakończyła trwająca do późnej nocy dyskoteka, na której znakomicie bawiliśmy się, a nasz kolega – Geniek „Ptaszek" – chwilami zaćmiewał siłą głosu wokalistów z zespołów „Qeen" czy „Deep Purple".

Uczestnicy Zlotu w ciągu następnych dni zwiedzali chełmskie zakłady pracy, brali udział w czynie społecznym na rzecz miasta, spotykali się też z weteranami ruchu robotniczego. **(jar)**

Fot. **Adam Jaroszyński**

SPOTKANIE NAJLEPSZYCH

WSPÓLNY CEL

*Mieszkam w małej wiosce, w której przez wiele lat nic się nie działo. Nie było ani świetlicy ani boiska, nie było również porządnej drogi. Tak więc młodzież nie miała po prostu dokąd pójść. Od pewnego czasu wszystko się zmieniło. Mieszkańcy wsi doszli do porozumienia między sobą. Cegła na świetlicę została już zwieziona, wkrótce rozpocznie się kopanie fundamentów. Jeśli chodzi zaś o naprawę drogi, to trzeba trochę zaczekać, gdyż najpierw ma być zakładana kanalizacja i woda, a później będzie robiony asfalt. Życzę wszystkim mieszkańcom takich wiosek jak nasza: aby umieli porozumieć się i aby znaleźli między sobą chęć do pracy. **(wm)***

„Michał"
z Oborzysk Nowych

INDONEZJA INDONEZJA

Podobno wysp jest 13 tysięcy, ale tak naprawdę to nikt nie wie ile ich jest, może 12987, a może 13005? Nie ma roku, żeby wstrząsy wulkaniczne nie wyniosły kawałka dna nad poziom morza i nie pochłonęły jakiegoś skrawka przypominającego do złudzenia swym obszarem owe wyspy z jedną palmą lub bez, które przedstawia się w dowcipach rysunkowych o rozbitkach. Z tych iluś tam tysięcy wysp tylko trzy tysiące są zamieszkałe i one się liczą, a z nich najbardziej liczy się Jawa...

CIĄG DALSZY NA STR. 2

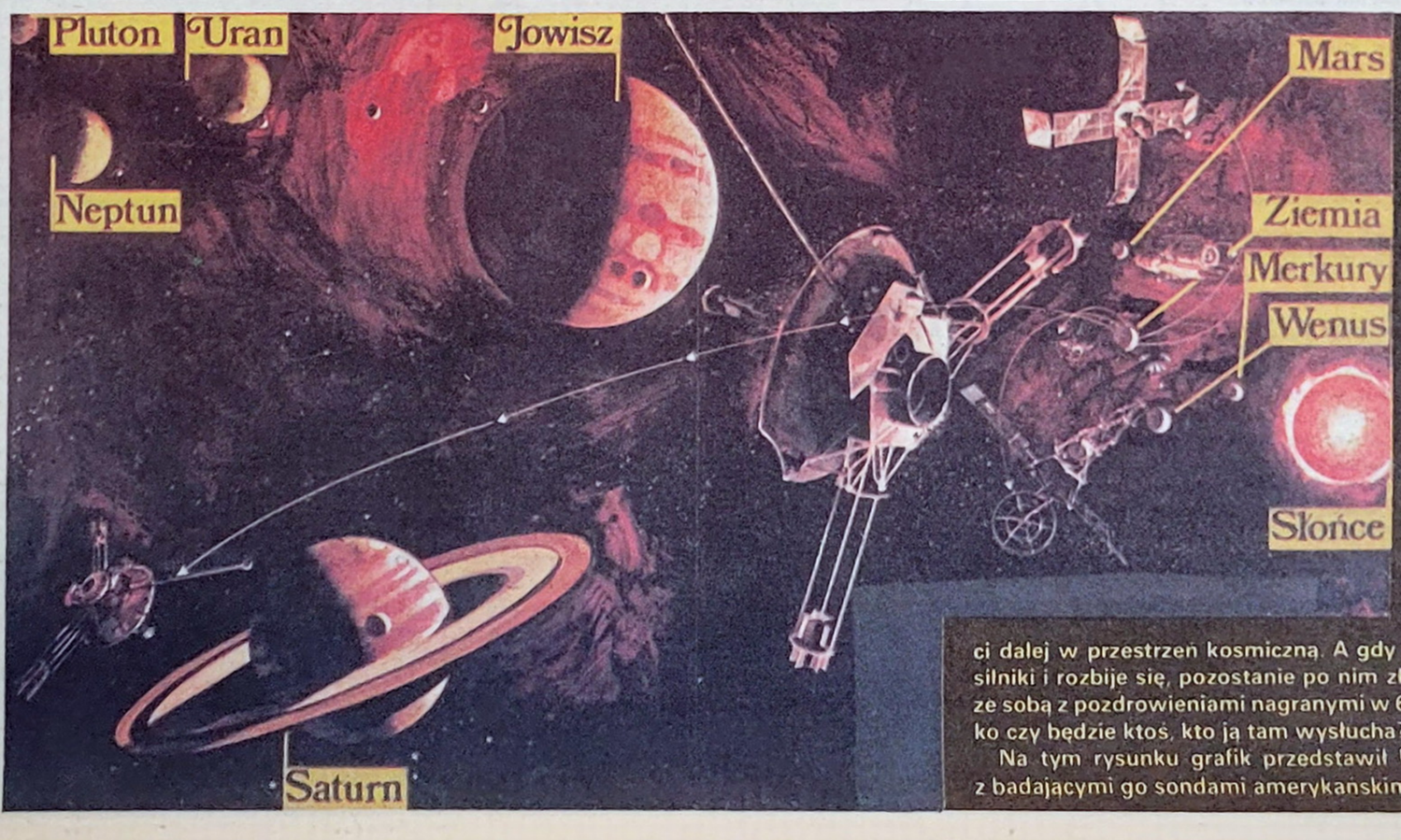

Od kilku lat ZSRR i USA rozszerzają swoje badania na coraz odleglejsze przestrzenie Układu Słonecznego. Automatyczne sondy docierają do Wenus, Marsa, Jowisza. Właśnie z rejonu tej największej planety dotarły na Ziemię rewolucyjne zdjęcia i informacje naukowe przesłane przez Voyagera-1 Piszemy dziś o tym w TOMIKU na str. 7. Obecnie Voyager-1 zmierza na kolejne „bliskie spotkanie" z Saturnem, które nastąpi w listopadzie 1980 r. Po czym poleci dalej w przestrzeń kosmiczną. A gdy przestaną działać jego silniki i rozbije się, pozostanie po nim złota płyta, którą wiezie ze sobą z pozdrowieniami nagranymi w 60 językach świata. Tylko czy będzie ktoś, kto ją tam wysłucha?

Na tym rysunku grafik przedstawił Układ Słoneczny wraz z badającymi go sondami amerykańskimi.

O tym warto wiedzieć

POLSKA
w pierwszym półroczu 1979

Główny Urząd Statystyczny ogłosił przed kilku dniami dane o rozwoju gospodarki narodowej i o wykonaniu Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego w pierwszym półroczu br. Z dokumentu tego mówią do nas suche liczby, które nie we wszystkich przypadkach od razu przemawiają do wyobraźni. Zatem – tam, gdzie jest to możliwe, rezygnujemy z przytaczania dokładnych danych liczbowych, a niekiedy ograniczamy się do stwierdzenia, że coś wzrosło lub zmalało – bo w gospodarce minionego półrocza daje się zauważyć i jedno, i drugie. Ogólnie rzecz biorąc – w okresie tym napotkaliśmy na szereg przeszkód. Były to zarówno niesprzyjające warunki atmosferyczne – ciężka zima, powodzie i wyjątkowo sucha wiosna, jak również niedomagania transportu i energetyki, związane zresztą ściśle z wybrykami pogody. Oto niektóre z wielu danych, zawartych w dokumencie GUS:

● Ludność. W końcu czerwca było nas 35,2 mln. Wzrost liczby ludności w stosunku do okresu końcowego 1978 r. wyniósł 0,5 proc. Około 12 mln obywateli znajdowało zatrudnienie w gospodarce uspołecznionej – mniej więcej tyle samo, co w tym samym okresie ub. r.

● Dochody i płace. Nastąpił 9,6-procentowy wzrost pieniężnych przychodów ludności w stosunku do tego samego okresu ub. r. Przeciętna płaca w gospodarce uspołecznionej wyniosła 4883 zł – o 351 zł więcej niż w I półroczu ub.r. Wypłaty emerytur i rent, jeżeli nie liczyć rolników indywidualnych, wyniosły 60,3 mld zł, wzrastając o 8,9 mld zł. Liczba rent i emerytur dla rolników indywidualnych wzrosła o 79 tys., czyli o 44,2 proc.

● Produkcja przemysłowa. W stosunku do I półrocza ub.r. nastąpił nieznaczny wzrost produkcji przemysłowej sprzedanej (ok. 0,6 proc.). Stosunkowo znaczny wzrost produkcji nastąpił w przemyśle metalowym, maszynowym, energetycznym, elektrotechnicznym, elektronicznym, mechaniki precyzyjnej, ceramicznym i szklarskim. Gorzej niż planowano kształtowała się produkcja m.in. stali surowej, wyrobów walcowanych, miedzi elektrolitycznej, ciągników rolniczych (mimo to ich dostawy dla rolnictwa wzrosły w tym okresie o 4 proc.), statków morskich, telewizorów, tworzyw sztucznych, cementu, mebli, papieru, szeregu tkanin. Jednocześnie – duże jest tempo wydobycia węgla kamiennego, produkcji samochodów osobowych, połowów ryb morskich.

● Rolnictwo. Wg wstępnych danych ostatniego spisu rolnego pogłowie bydła spadło o ok. 0,6 proc., trzody chlewnej o ok. 2,3 proc., owiec o 0,7 proc. Dane GUS nie obejmują jeszcze oczywiście tegorocznych plonów, ale szacuje się, że w związku z niekorzystnymi warunkami atmosferycznymi nastąpi spadek plonów zbóż i rzepaku w stosunku do ub.r. Na rynku dały się odczuć niedobory w dostawach mleka.

● Transport. Uspołecznione środki transportu przewiozły o 5,5 proc. ładunków i 4,3 proc. pasażerów mniej niż w I półroczu ub.r. Łącznie przewieziono 762 mln ton ładunków.

● Tendencje w gospodarce tego okresu to m.in.: spadek nakładów inwestycyjnych (o 13,9 proc.) oraz duże zróżnicowanie wyników produkcji w różnych dziedzinach przemysłu, które trzeba będzie zlikwidować. (tok)

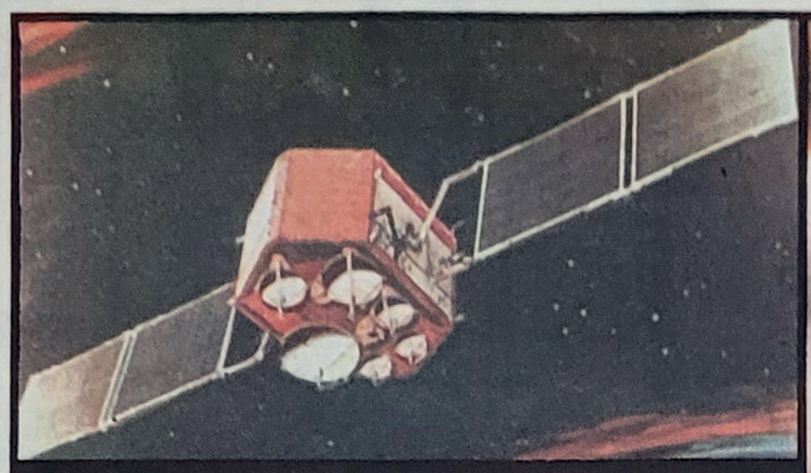

INDONEZJA ● INDONEZJA ● INDONEZJA

Zderzenie betjaka z satelitą

Indonezja rozciąga się na największym na kuli ziemskiej archipelagu; gdyby umieścić go w Europie, to wyglądałoby to tak

Ale oto dzieje się rzecz przedziwna, najnowsza historia tego kraju zaczyna się od nieprawdopodobnej sprzeczności: ten największy archipelag jakby wcale nie chciał nim być! Władza, ludzie (65% na 7% terytorium kraju) koncentrują się na jednej wyspie – Jawie. Przez wiele lat panował tu – nie wiem, czy nie zbyt wcześnie używam czasu przeszłego – „lądowy" sposób myślenia. Jakby kraj ten nie składał się z wysp, a stałego lądu tylko podzielonego na kawałki. Faktem jest, że do dziś przeciętny Jawajczyk, z wyjątkiem mieszkańców północnego wybrzeża, wprost boi się morza, które uważa za siedzibę złych duchów. Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy, który doprowadził do lekceważenia morza, a w konsekwencji do zaniedbania żeglugi, portów, a nawet rybołówstwa, co w kraju nie cierpiącym na nadmiar żywności jest zgoła niewytłumaczalne? A przecież do czasu przybycia holenderskich kolonizatorów, Indonezja należała do wielkich morskich narodów Azji. Jak wyjaśnić tę zmianę?

„*Istnieją historyczne i psychologiczne przyczyny tego zjawiska* – mówi indonezyjski minister przemysłu, Subud. – *Holendrzy stłumili w nas ducha żeglarstwa, aby umocnić swoje panowanie, a z wielkich wysp uczynili dostarczycieli surowców, a nie rynki zbytu.*" To prawda, ale też prawdą jest, że wielu ekonomistów indonezyjskich rozwinęło koncepcje nie uwzględniające wyspowego położenia kraju. A dawną Holandię – w ich programach rozwoju kraju – zastąpiła Jawa, zaś inne wyspy nazwane „zewnętrznymi", dalej pełniły rolę dostarczycieli surowców. Dopiero w ostatnich latach dają się zauważyć widoczne zmiany. Tak więc z grubsza wiemy już w czym rzecz i jakie wynikają wnioski. Dalszy rozwój Indonezji, jej przyszłość zależy od tego czy przeludniona, pekająca w szwach od nadmiaru ludzi (i władzy) Jawa, przestanie być tą najważniejszą wyspą, a reszta kraju tylko „wyspami zewnętrznymi".

Choć prawie nie ma żadnych podobieństw ani w historii, ani w teraźniejszości Polski i Indonezji, to dziwnym zrządzeniem losu kraje te mają takie same godło i barwy: orła oraz biel i czerwień. Różnice są w szczegółach: na narodowej fladze Indonezji poziomy czerwony pas jest nad białym, a orzeł ma inny nieco kształt i kolor. Jest jednak między tymi dwoma godłami jedna zasadnicza różnica: w wizerunku orła indonezyjskiego każdy dosłownie szczegół ma znaczenie. I tak: kolor złoty symbolizuje wielkość narodu, kolor czarny – Naturę; 17 piór w każdym skrzydle, 8 w ogonie i 45 na szyi tworzą datę 17.8.45 – dzień ogłoszenia niepodległości. Napis „BHINNEKA TUNGGALIKA" znaczy „Jedność w różnorodności". Pola na tarczy przedstawiają indonezyjskie „*Pańcza Sila*" czyli „Pięć Zasad"; gwiazda – wszechmoc boska (co również oznacza tolerancję religijną), głowa bawołu – demokracja, drzewo – świadomość narodowa czyli patriotyzm, łańcuch – równość ludzi (ogniwa okrągłe symbolizują kobietę, kwadratowe mężczyznę), kłos ryżu i kwiat bawełny – sprawiedliwość społeczną (żywność i odzież – podstawowe potrzeby ludzkie).

„Jedność w różnorodności"... z tym jest problem aktualny i dziś, choć dewiza ta powstała w XV wieku w jawajskim królestwie Madjapahit. Trudno o tę jedność między mieszkańcami tysięcy wysp, których 135-milionowa ludność wyznaje kilka religii i składa się z mówiących różnymi językami około 300 etnicznych grup – narodów. Ale nie tylko to ich dzieli. F. A. Moritz, amerykański dziennikarz (raczej przychylnie ustosunkowany do władz indonezyjskich), pisze w swej gazecie tak: „*Zyskowny eksport indonezyjskiej ropy- jak również inne przedsięwzięcia gospodarcze przyczyniły się do powstania nowoczesnej klasy biznesmenów rozporządzających własnymi samochodami, podmiejskimi willami, telefonami i kontami w bankach. Natomiast ogromna większość mieszkańców miast żyje z bardzo niepewnych dochodów i mieszka w „miejskich wsiach", w prymitywnych domkach, w których telefony, elektryczność i nowoczesne instalacje wodociągowe należą do rzadkości*". Jak to wygląda po przełożeniu na język bardziej precyzyjny i codzienność? „Prymitywne domki" to, po prostu budy sklecone z byle czego, a „miejskie wsie", co nieźle brzmi, to po prostu slumsy czyli dzielnice nędzy.

Tak więc – jak widać – osiąganie „jedności w różnorodności" nie jest na najlepszej drodze. Ale też, stwierdzić trzeba, nie wszystko tylko od polityki gospodarczej rządu zależy. Bowiem nawet przy stosunkowo szybkim rozwoju gospodarczym kraju, a nawet i oświaty – już tylko 75% Indonezyjczyków jest analfabetami – kraj ten jest rozciągnięty na tak ogromnym obszarze, tak zróżnicowanym pod każdym względem, z wyjątkiem może klimatu, że nowoczesność ma tu ogromną i trudną drogę do przebycia. Gdy w jednym miejscu, przy pomocy najnowocześniejszych urządzeń, wydobywa się i przerabia ropę naftową, w innym człowiek z dżungli tnie gałęzie na szałas kamienną siekierą. Gdy w jednym końcu którejś z wysp robotnicy leśni wycinają w czasie jednego dnia kilkadziesiąt czterdziestometrowej wysokości drzew, to w drugim tygrysy podjadają sobie ludzi, a członek plemienia Dajaków przez kilka tygodni wydłubuje dziurę w pniu drzewa, aby zdobyć w ten sposób łódź do połowów, identyczną z tą, jaką posługiwał się jego przodek. Mogą sobie w wielkich miastach panować nowe prawa, ale na wsi prawo jest takie samo jak przed wiekami, a zwie się ono *adat*. Jaka jest jego siła, moc tradycji? Oto przykład: mieszkający w stolicy kraju Dżakarcie (Jawa) młody dziennikarz poślubił Jawajkę. Pewnego dnia postanowił odwiedzić swoją rodzinę na zachodniej Sumatrze. „*Nigdy nie ugnę się przed adatem*" – wyjawił swą niezłomną wolę przed podróżą. Tak się jednak stało, że pod naciskiem starszyzny wioskowej i rodziny ustąpił i ożenił się z niekochaną dziewczyną, którą mu wybrano. Nieszczęsna Jawajka wróciła do rodziców, utwierdzając ich w przekonaniu, że ludzie z „wysp zewnętrznych" to dzikusy i już.

Przed niespełna trzema laty stworzono w Indonezji wewnętrzny system satelitarny, który łączy 27 stolic prowincji oraz 13 wielkich miast, umożliwiając uzyskanie prawie natychmiastowego połączenia telefonicznego. Ale na ulicach tych miast, obok pędzących taksówek (przeważnie japońskiej produkcji), trochę wolniej pędzą trójkołowce zwane *betjakami*, których napęd stanowią nogi kierowcy. To zderzenie w jednym czasie i miejscu *betjaka* z satelitą, urasta do rangi jeszcze jednego symbolu Indonezji, której prezydent – generał Suharto nie ukrywa, że dewizą jego rządów jest starojawajskie powiedzenie „*Alon-alon asal kela kon*", co na polski wykłada się: „wolno, wolno, ale pewnie". Z tym „wolno" nie bardzo chcą się jednak liczyć Indonezyjczycy. Według przewidywań specjalistów ludność kraju osiągnie około roku 2000 – mimo wprowadzonej kontroli urodzeń – 250 milionów. Oznacza to, że choć udoskonalono w wielu wsiach system nawodniania i robi się to nadal, choć wprowadzono nowe, wydajniejsze gatunki ziarna, ryż trzeba będzie importować nadal, a nawet import ten zwiększać. W tym samym czasie, z powodu zmniejszania się wydajności szybów naftowych przy jednoczesnym wzroście potrzeb kraju, zmniejszy się eksport nafty, dający obecnie około 70% dochodów z eksportu. A więc co dalej? Odpowiedzi na to pytanie nie zna nikt.

JERZY KOWALKOWSKI

Fot. archiwum

Temat do rozmowy przy ognisku

Wysyłaj list bez podania swego adresu

Ten list na pierwszy rzut oka nie różnił się od innych. Zwykła niebieska koperta, znaczek, stempel pocztowy, adres. Dopiero gdy rozciąłem kopertę, wypadła z niej pisana przez kalkę kopia tekstu zatytułowanego „Łańcuszek do św. Antoniego". Wstęp stanowiła przepisana skądś modlitwa do tegoż świętego. Dziwny to co prawda zwyczaj wysyłac tekst modlitwy do osoby nieznanej. W takim wypadku nigdy przecież nie wiadomo, czy życzącej sobie tego. Ale gdyby na tym się sprawa kończyła, można by ją zakwalifikować jako różnicę poglądów w kwestiach dobrych obyczajów.

Rzecz w tym, że poniżej następował taki oto dalszy ciąg: *„List tej treści został wysłany przez misjonarza w Afryce Południowej i tą drogą ma obejść cały świat. Przez 13 kolejnych dni wysyłaj listy tej treści do różnych osób, a spotka Cię szczęście. Polak żyjący w Afryce wyrzucił ten list i po 13 tygodniach stracił syna. Pewien Włoch spełnił czynność i wygrał milion. Ktoś schował list i w kilka dni później zginął w katastrofie lotniczej. Wysyłaj list bez podania swego adresu..."*

No cóż, zachęta też się znalazła. Gdyby tak historia tego pewnego Włocha miała się regularnie powtarzać, byłby to najłatwiejszy sposób zdobywania dużych sum pieniędzy. Szkoda tylko, że taki dysonans z tym miłym akcentem tworzą te makabryczne pogróżki. W tym miejscu – tak mi się przynajmniej wydaje – sprawa wykracza już poza granice dobrych lub złych obyczajów. Autor bowiem usiłuje wymusić na adresatach wysłanie listu. A wymuszanie na kimś czegoś, co nie jest uzasadnione ważnymi racjami społecznymi, co nie jest określone powszechnie obowiązującym prawem – jest, delikatnie mówiąc, rzeczą bardzo brzydką. Ogranicza bowiem wolność decyzji drugiego człowieka.

Za próbą wymuszenia tego typu kryje się zresztą bardzo prymitywny sposób myślenia. Wątpię, by kogoś, kto stara się kierować w życiu przyjętymi zasadami i rozumem można było w ten sposób zastraszyć. Jeden z wielkich myślicieli Odrodzenia słusznie twierdził, że „człowieka można złamać tylko za jego własnym przyzwoleniem." Jeszcze trudniej takim wymuszaniem przekonać kogoś do swoich poglądów.

I tu dochodzimy do niezwykle delikatnej materii. Treść listu wkracza w sferę gwarantowanej przez Konstytucję PRL wolności sumienia i wyznania. Przecież taki list wysyłany do nieznanego człowieka może trafić do katolika, ale i do wyznawcy innego wyznania – jest ich w Polsce ponad trzydzieści – i do człowieka niewierzącego. Wymagać od tych innych uczestnictwa w tym łańcuszku, tzn. zmuszać ich do postępowania wbrew swoim przekonaniom. To czyn karalny. Musiał sobie zdawać z tego sprawę ten, kto układał treść tego listu, przepisywanego – być może bez głębszego zastanowienia – przez innych. Nie zawarłby bowiem w nim w przeciwnym wypadku ostrzeżenia: „Wysyłaj list bez podania swego adresu"

Jedną z pięknych polskich tradycji jest tolerancja światopoglądowa, poszanowanie poglądów religijnych i ateistycznych, bez względu na to, czy się z nimi zgadzamy. W średniowieczu, kiedy w całej prawie Europie szalały wojny i rzezie religijne, kiedy za herezje palono na stosach, w Polsce innowiercy cieszyli się swobodami, żyli w przyjaźni i z katolicką większością, wnosząc jakże cenny wkład w rozwój naszej narodowej kultury. Ta dobra tradycja legła u podstaw jedności wszystkich Polaków – katolików, przedstawicieli innych wyznań i niewierzących – w budowie pomyślności Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Trzeba ją chronić i przed takimi „łańcuszkami".

Autora zaś listu do mnie chciałem tą drogą zapewnić, że po 13 tygodniach żyję, jednego dnia bardziej szczęśliwie, drugiego mniej – tak, jak to w życiu bywa.

JERZY MAJKA

KLAN

UWAGA, WSZYSTKIE WAKACYJNE ZASTĘPY!

ZADANIE SPECJALNE NR 8

O tym, że rok bieżący jest Międzynarodowym Rokiem Dziecka, nie trzeba Wam przypominać. Wie o tym każdy z Was bardzo dobrze, bo to przecież Wasze święto. Przepraszam, jeśli kogoś w tym momencie uraziłem – wiem dobrze, że ludzie z Was niemal dorośli, ale w końcu, to żadna dla nikogo ujma być jeszcze trochę dzieckiem, a poświętować sobie, to przecież przyjemność. **Ale wcale nie do świętowania chcę Was namawiać, a wręcz przeciwnie – do popracowania, żeby zrobić przyjemność młodszym od Was. I na tym polega ZADANIE SPECJALNE NR 8, które niniejszym ogłaszam!**

Najpierw powinniście policzyć, ile jest tych młodszych dzieci, którym chcielibyście zrobić przyjemność. Proponuję nie brać pod uwagę dzieci do lat 3–4, bo one uczestniczyć w wielkiej zabawie jeszcze nie potrafią, a dzieci młodsze od Was wprawdzie, ale niewiele, potraktować nie jako biernych uczestników zorganizowanej przez Was zabawy, lecz jako jej współorganizatorów – będą miały przyjemność jeszcze większą. Jak już wiecie, ilu przypuszczalnie będzie tej wielkiej zabawy uczestników, należy zastanowić się, jak ona powinna wyglądać. No bo inaczej planuje się imprezę dla 10–15 dzieci, inaczej – dla 50, a inaczej dla prawie setki. Nie radzę Wam porywać się na organizowanie imprezy większej niż dla 100 osób, bo nie dacie sobie rady nawet, jeśli będziecie mieć kilku czy kilkunastu pomocników. Jeśli okaże się, że dzieci w Waszej miejscowości jest więcej, lepiej zorganizować dwie imprezy – oddzielnie dla młodszych (5–7 lat) i dla starszych (8–10 lat). Przy przygotowywaniu jej programu **pamiętać musicie o tym, że jest to impreza dla dzieci i im powinna sprawić przyjemność, a nie tylko Wam.** Przede wszystkim powinniście przygotować kilka konkursów ruchowo-zręcznościowych, w których kilkoro lub kilkanaścioro dzieci bierze udział na ochotnika, a reszta obserwuje ich zmagania; jakąś zabawę-konkurs powszechny, dla wszystkich chętnych (np. rysunkowy czy lepienia z plasteliny); wodzireja, który z najmłodszymi będzie bawił się „w kółko"; jeśli macie takie możliwości, to przedstawienie kukiełkowe czy wyświetlanie filmów z bajkami. Miejsce wielkiej zabawy powinno być odpowiednio świątecznie udekorowane, a jeśli dacie radę, to dobrze byłoby przygotować dla dzieci bibułkowe czapki czy wianki. No i nie wolno zapomnieć o nagrodach dla zwycięzców konkursów i gier, mogą to być chociażby bukieciki kwiatków, byle uroczyście wręczane. Na zakończenie wielkiej zabawy, która nie powinna trwać w sumie dłużej niż 2 godziny, może odbyć się dyskoteka, czyli po prostu prowadzone przez Was tańce przy muzyce z adapteru lub magnetofonu.

Z niecierpliwością oczekują na Wasze MELDUNKI o tym, jak udała się wielka zabawa. Na kopertach zaznaczcie: KLAN, ZADANIE SPECJALNE NR 8.

Cześć!

Szef
Klubowego Lata Nastolatków
KLAN

KS „PRZYGODA" PROPONUJE:

RINGO – GRA DLA KAŻDEGO!

Tegoroczny mistrz Polski w kategorii szkół ponadpodstawowych, Dariusz Nowak w akcji

Naukowcy uważają, że ringo jest sportem rozwijającym niemal wszystkie cechy potrzebne człowiekowi we współczesnej cywilizacji. „Ringo rozwija refleks, szybkość i koordynację ruchów, wytrzymałość ogólną i wyobraźnię przestrzenną. Aby wygrać w ringo – trzeba, oprócz wysokiej sprawności fizycznej, dysponować wyższą ambicją i wolą zwycięstwa niż przeciwnik" – twierdzi doc. dr Zenon Ważny, dyrektor Instytutu Sportu w Warszawie.

Cały sprzęt do ringo można wykonać samemu: kółko do gry z kawałka gumowego lub plastykowego przewodu (można też je wykonać z drutu, owiązać papierem i okleić leukoplastem); boisko – z dwu żerdzi, linki z kolorowymi chorągiewkami (taśmami) i płóciennej lub plastykowej taśmy wyznaczającej linie boiska jak do siatkówki. Do gry w ringo można też wykorzystać boisko siatkówki. Ma ono takie same wymiary – 9×18 m, podzielone na dwa pola – siatką wysokości 243 cm.

Przepisy gry w ringo można poznać w ciągu kilkunastu minut gry na boisku. Szczegółowy regulamin gry załączony jest do każdego kółka ringo polskiej produkcji.

Celem gry jest spowodowanie upadku kółka na boisko przeciwnika. Nie wolno kółka przekładać z ręki do ręki. Jeśli schwytałeś je lewą ręką – musisz tą samą ręką kółko odrzucić. Czas od schwytania kółka do jego odrzucenia nie jest ograniczony. Najpierw zatem pomyśl, a potem wykonaj rzut tak, aby kółka nie mógł schwytać przeciwnik. Sędzia może jednak wydać komendę „pięć sekund" i zacząć głośno odliczać. Jeśli po odliczeniu „pięć" kółka nie odrzucisz – tracisz punkt.

Punkty zdobywa się niezależnie od strony serwującej (jak w tenisie stołowym). Serwuje kolejno każda ze stron po pięć razy. Walka trwa do 15 pkt., do zwycięstwa wystarczy różnica jednego punktu (15:14).

Grę rozpoczyna się losowaniem zagrywki. Wygrywający losowanie ma obowiązek serwu i do niego także należy wybór strony boiska. Dla wyrównania szans (słońce, przeciwny wiatr), następuje zmiana boiska w momencie uzyskania przez jedną ze stron 8 pkt.

Przy rzucie kółkiem co najmniej jedna stopa musi dotykać ziemi. Serw wykonujemy zza linii, z dowolnego miejsca. W czasie serwu nie wolno przekraczać końcowej linii boiska. Nie wolno też wykonywać „zwodów" kółkiem, rzutów pionowych i koziołkujących. Lot kółka musi przypominać lot latawca lub „latającego talerza".

Regulamin ringo przewiduje możliwość chwytania upuszczonego kółka drugi raz tą samą ręką. Jeśli upadło ci kółko – spróbuj jeszcze raz. Kółko nie może dotknąć nigdy twego ciała, poza chwytającą dłonią i przedramieniem. Do gry drużynowej (dwójkami lub trójkami) w grze są jednocześnie dwa kółka, serwowane „przeciwbieżnie" przez obie drużyny na sygnał sędziego.

I to wszystko. A teraz przystąpcie do przygotowania boiska dla siebie i przyjaciół. Wierzę, że po wakacyjnym treningu będziecie mogli z powodzeniem startować w VII Międzynarodowych Mistrzostwach Polski w Ringo, które zostaną rozegrane 16 września br. w Warszawie. Zgłoszenia przyjmuje Stołeczny Ośrodek Sportu, ul. Rozbrat 26, 00-429 Warszawa.

STARSZY SĘDZIA
Prezes KS „Przygoda"

Fot. CAF – Walczak

PRZYJECHAŁA WITONIA!

Wieść szybko rozchodzi się po obozie. Kwatermistrz już otwiera magazyn. Dla każdego materac, dwa koce. Może się przecież zdarzyć, że będzie bardzo zimno. Teraz tylko chwila wytchnienia po podróży i trzeba zabrać się za porządkowanie namiotów.

Zgrupowanie obozów Komendy Hufca Kutno od kilkunastu lat znajduje się w Zuzinowie. Na jednym turnusie przebywa tu około 450 osób. W tym roku jeden z podobozów zamieszkują harcerze z miejscowości Witonia. Jego komendantką jest dh. phm. Maria Jaworska. Program obozu obejmuje między innymi szkolenie na zastępowych i przewiduje mnóstwo atrakcji. Nikt nie może się nudzić! **(ach)**

Fot. **W. Giers**

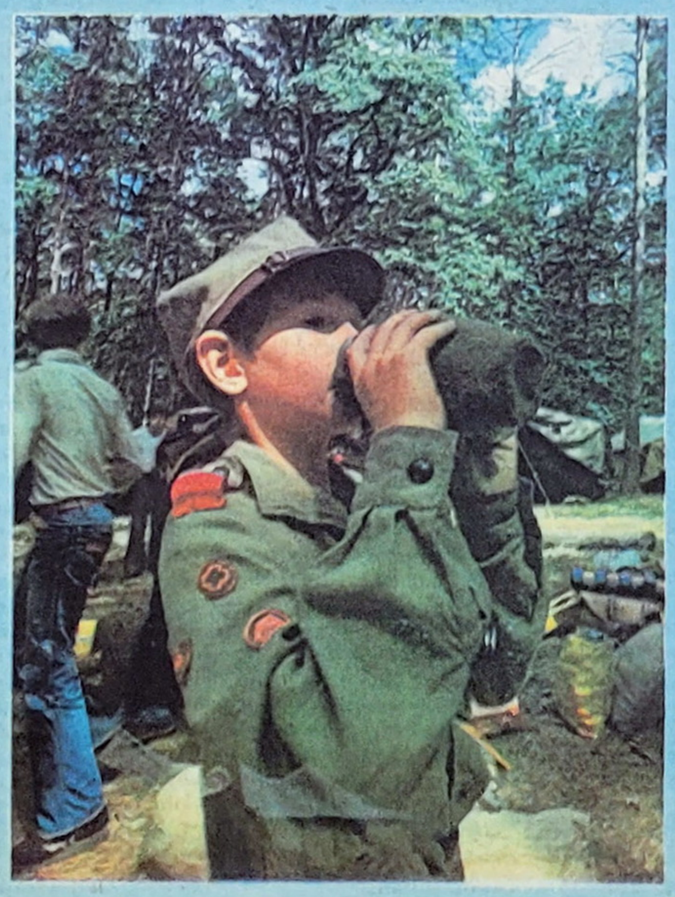

„SWIAT MŁODYCH" PRZYPOMINA, ŻE WSZYSTKIE DZIECI SĄ NASZE!

Niech się cieszą, że są na obozie

W specjalnym zeszycie założonym dla drużyny, prowadzonym przez Annę Kasprzykową, kuratora zawodowego w Sosnowcu, przeczytałem m.in.:

Iwona, l. 14 – rodzice pozbawieni władzy rodzicielskiej, posiada skierowanie do państwowego domu dziecka, mieszka u dziadka.

Henia, l. 13 – wielodzietna rodzina alkoholików, nieletnia nie sprawia trudności wychowawczych.

Dariusz, l. 13 – półsierota, posiada ojczyma, jest zaniedbany moralnie.

Piotr, l. 14 – rodzina alkoholików, złe warunki materialne i mieszkaniowe.

Niemal przy każdym następnym imieniu i nazwisku znalazłem podobne uwagi. Nic dziwnego, na obóz przyjechało 43 dzieci wytypowanych przez wydziały dla nieletnich sądów rejonowych Zawiercia, Sosnowca, Siemianowic i Katowic. Przyjechały dzieci, które zwykło się określać mianem zagrożonych moralnie i społecznie, dzieci z rodzin rozbitych, alkoholików itp. Przyjechały na obóz harcerski, aby zmienić choć na tych kilka tygodni swoje środowisko, aby wypocząć... Czysto, można najeść się do syta. Z inicjatywą wysłania tych dzieci na obóz wystąpiły wojewódzki i miejski ośrodek społeczno-prawny w Katowicach. Komenda Hufca Katowice wyraziła chęć ich przyjęcia.

Lipowa, ośrodek obozowy Hufca Katowice. Szósty dzień pobytu na dobrą sprawę był pierwszym, w którym nie padał deszcz. W beskidzkim terenie deszczowa pogoda jest szczególnie nieprzyjemna. Gliniaste i kamieniste podłoże słabo wchłania wodę, tworzą się wielkie kałuże, a potem w rozdeptanej trawie – olbrzymie błoto. Przy takiej pogodzie, gdy temperatura spada poniżej plus 10 stopni Celsjusza, a wilgotność powietrza jest bardzo duża, nawet odzież trzymana w plecaku wydaje się wilgotna. Gumowe buty, nieprzemakalne okrycie, gruby sweter lub dres są na obozach w Beskidach tak samo ważne jak... menażka.

Niestety, dzieci wytypowane przez sądy rejonowe w zdecydowanej większości przyjechały bez tego. Już na obozie okazało się, że wiele z nich nie ma koców, dresów, ciepłej odzieży, nawet menażki. – **Wyglądały tak** – mówi komendant ośrodka hm. Andrzej Cofała – **jakby je ktoś zgarnął z ulicy i przywiózł na obóz. Na przykład taka mała Asia miała w swojej walizce dwie letnie sukienki i rajtuzy.**

Oglądałem oryginalne zawiadomienia wysyłane do dzieci przez sąd, w którym informowano je jedynie o tym, że: „zabrać ze sobą oprócz odzieży: 1) prześcieradło, 2) może menażki lub garnuszki, łyżkę, widelec, nóż, 3) jeśli ma mundurek harcerski to pożądane, jeśli nie, to trudno."

Ani słowa o tym, że obóz jest w górach, pod namiotami, że trzeba mieć koce, ciepłą odzież, nieprzemakalne okrycie i gumowe buty.

Mimo braku pieniędzy na ten cel, komenda zgrupowania zakupiła natychmiast wszystkim kalosze, a prokuratura wojewódzka przysłała trochę kocy. Opiekunki z ramienia ośrodka społeczno-prawnego wyjechały do domów poszczególnych dzieci, aby przywieźć niezbędne okrycia. Zastępca komendanta tego nietypowego obozu – Tomasz Sosiński –„rozdzielił całą swoją odzież. W plecaku zostały mu tylko mundur instruktorski i dwie pary spodni. Nie udało się jednak aż do szóstego dnia trwania obozu uratować sytuacji do końca. Nadal były takie dzieci, które musiały czekać w kolejce na menażkę kolegi, nadal były takie, które miały jeden, jedyny koc i w nocy spały we dwójkę w jednym łóżku, bo pod dwoma kocami było cieplej. Nadal większość z nich w tych samych rzeczach chodziła bawić się, pracowała i spała.

Alarmowani telegramami, przyjechali szóstego dnia na obóz przedstawiciele ośrodka społeczno-prawnego, zleceniodawcy obozu. Nie wyglądali na specjalnie zmartwionych tym, co tu zobaczyli. Podobno obóz – jak każdy inny. Ani gorszy, ani lepszy. Zgoda, brakuje trochę, ale to dopiero początek – oni „zadziałają" i będzie w porządku. Na moje pytanie, czy podobnej sytuacji nie można było przewidzieć wcześniej i już przed obozem zakupić trochę niezbędnych rzeczy lub otrzymać z PKPS-u, Bogusław Jasiński zawodowy prawnik o mało się nie obraził. Poczuł się atakowany, on tego nie lubi. A jeśli chodzi o wcześniejsze zakupy, to przecież nie można przewidzieć, kto z czym przyjedzie, a poza tym nie ma na to pieniędzy.

Innego zdania był Tomasz Sosiński, zastępca komendanta obozu, długoletni instruktor „Nieprzetartego Szlaku", ściągnięty w ostatniej chwili na ten obóz: „Dla mnie nie jest to zaskoczeniem, że dzieci przyjechały bez odpowiedniego wyposażenia. Sam prowadzę szczep harcerski w szkole specjalnej i na swoje obozy zabieram zawsze dodatkowe menażki, koce itd."

Słyszałem nawet i taką opinię – nazwisko jej autora jest tu nieistotne – że w zasadzie nie ma o co kopii kruszyć, bo i tak wiele dzieci ma tu lepiej niż w domu. To co, że brak koców, dzieciak ma przynajmniej własne łóżko!

Gdy tekst ten dotrze do czytelników opisany tu obóz już się zakończy. Liczne interwencje podejmowane tego szóstego dnia spowodują zapewne, że uda się rozwiązać sprawę koców, menażek itp. Po co więc to opisuję? Po to, aby uzmysłowić organizatorom podobnych przedsięwzięć, że naprawdę wszystkie dzieci są nasze, te „niczyje" – również.

MARIAN TWARÓG

Rozmowa „Świata Młodych" z Grzegorzem Pisarskim, poliglotą, kierownikiem grupy tłumaczy na Festiwalu Młodzieży w Hawanie, laureatem plebiscytu 20 Młodych Polaków 1979.

Mój czas jest elastyczny

Grzegorz Pisarski, jeden z dwudziestu wybitnych Młodych Polaków Roku 1979, ma 22 lata i 10 miesięcy. Jest to ważna informacja dotycząca jego sylwetki, ponieważ Grzegorz ma za sobą ukończone dwa fakultety, otwarty przewód doktorski, biegle włada 10 językami, biernie zna 5 i jest już szczęśliwym małżonkiem i ojcem.

„Świat Młodych": Gdy zestawimy tych kilka faktów dotyczących twojej osoby z twoim wiekiem, nieodparcie nasuwa się pytanie – jak znajdujesz na to wszystko czas, chyba musisz niezwykle precyzyjnie nim dysponować?

Grzegorz: To prawda, że ogólnie cierpimy na brak czasu, ale chyba najbardziej na ten brak narzekają ludzie bezczynni. Ja jestem optymistą i wydaje mi się, że na wszystko mam czas. Rzeczywiście program mego dnia jest napięty, ale raczej udaje mi się go realizować. Lubię aktywność, ruch, a ta moja ruchliwość poparta jest pasją. I sądzę, że właśnie dzięki tej pasji mój czas jest zaplanowany i elastyczny.

ŚM: Wydawałoby się, że powinieneś mówić o swoich pasjach a nie pasji. Masz przecież tak wiele zainteresowań, robisz tyle rzeczy?

Grzegorz: Tak jest faktycznie, ale wszystko co robię podporządkowane jest jednej pasji, a jest nią po prostu historia. Natomiast znajomość języków to nieodzowne narzędzie do poznawania jej. Także kierunki moich studiów, historia na Uniwersytecie Wrocławskim i architektura na Politechnice odkryły przede mną zagadnienia, które do poznania historii, prawidłowości i zależności historycznych są niezbędne.

ŚM: Może to niezbyt mądre pytanie, ale dlaczego właśnie historia, a nie np. geografia. Czy urodziłeś się z temperamentem historyka?

Grzegorz: Jest to może trochę sprawa przypadku, ale nie mam pewności. Zainteresowania, których miałem zawsze wiele, zmieniają się, jedne jakby przechodzą w inne i może przypadek, a może właśnie pewien temperament poznawczy zdecydował o tym, że „zatrzymałem się" przy historii. Zainteresowanie historią przerodziło się w pasję. Z pasją człowiek jest związany uczuciowo, ulega jej w jakimś sensie.

ŚM: Czy to prawda, że harcerstwo otworzyło przed tobą drogę do historycznych zainteresowań?

Grzegorz: Tak. Harcerstwo stworzyło mi sytuację, w której się znalazłem, w której znalazłem swoją pasję. „Akcja Srebrna Góra", poprzez którą harcerze postanowili zaktywizować to miasto, otworzyła przede mną uroki historii. Emocjonalnie związałem się ze Srebrną Górą. Wszystko co tam spotykałem było mroczne, tajemnicze, fascynujące. Odsłonięcie tych mroków, ujawnienie tajemnic – to stało się moim celem, a potem pasją. Moja pasja przyczynia się do tego, że praktycznie nie istnieją dla mnie żadne bariery do poznania zagadnienia. Stąd bierze się konieczność znajomości języków obcych, gdyż wiele źródeł, literatura dotycząca okresu, którym się interesuję, dostępna jest w większej mierze w językach obcych.

ŚM: 10 języków biegle, 5 biernie. Razem 15! Czy sądzisz, że jesteś w tym kierunku szczególnie uzdolniony? A może posiadasz tajemniczą receptę na nauczenie się języka, którą chętnie wszyscy poznamy...

Grzegorz: Nie mam takiej tajemniczej recepty. Uważam natomiast, że języka obcego można się nauczyć dobrze tylko wtedy, gdy posiada się odpowiednio silną motywację do jego poznania. Po prostu, jeśli znajomość języka jest rzeczywiście potrzebna, jeśli jest etapem do osiągnięcia ważnego dla nas celu. To, czego się uczymy w danym języku powinno nas interesować. Oczywiście potrzebna jest także wytrwałość, której najczęściej braknie wielu, zwłaszcza młodym osobom.

ŚM: Honorowy tytuł Młodego Polaka Roku 1979 otrzymało 20 młodych ludzi. Jakie masz odczucia związane z tym, że znalazłeś się w dwudziestce wybitnych?

Grzegorz: Chociaż wiem, że przyznanie tytułu Młodego Polaka 1979 jest w jakimś sensie sprawą jednak przypadku, bo takich jak ja jest przecież wielu w Polsce, to otrzymanie tego tytułu poczytuję sobie za sukces. Jest to zamknięcie pewnego etapu początkowego, bardzo trudnego, etapu zdobywania sprawności życiowej, przystosowania się do pracy w dorosłej codzienności.

ŚM: Czy możesz już wobec tego powiedzieć o sobie, że jesteś człowiekiem dorosłym?

Grzegorz: Dorosłość według mnie to jest poczucie odpowiedzialności za to, co robię. Bo czym różni się życie dziecka od życia dorosłego? Właśnie odpowiedzialność jest tym wyróżnikiem podstawowym. Życie dorosłe to odpowiedzialność za każdy pomysł, za każdy gest. Ale w tej odpowiedzialności i szarości dnia codziennego jest wiele uroków, chociaż niektóre osoby twierdzą, że dorastanie to odchodzenie od swoich młodzieńczych, niekiedy rzeczywiście wygórowanych ideałów. Nie zgadzam się z tym poglądem – ja się bronię moją pasją. Jeśli istnieje pasja, to życie się porządkuje jakby samo i nie trzeba rezygnować z młodzieńczych zamierzeń.

Rozmawiała
HANNA MIERZEJEWSKA
Fot. **J. Łopuszyński**

KLAN

Halo, tu Klub Szperaczy!

KTO ODNAJDZIE PANA KAZIMIERZA?

Cześć, Szperacze! Dzisiaj chcę zacytować Wam najpierw fragmenty listu, który kilka dni temu otrzymałem ze Związku Radzieckiego, z miasta Tomsk:

Działo się to latem 1944 roku. *Jako topografiście, wywiadowcy artylerii Armii Czerwonej, nieraz przychodziło mi wypełniać wojskowe zadania za linią frontu. Na to zadanie wyszliśmy we trójkę. Było to w rejonie mazurskich jezior, w augustowskich lasach,* ***niedaleko od jeziora Czarne. We wsi Czarnucha*** *wykryli nas hitlerowcy, wywiązała się strzelanina, w wyniku której moi dwaj towarzysze zostali zabici, a ja – ranny w nogę. Niemcy myśleli, że też nie żyję i dzięki temu udało mi się uratować. Leżałem, nie mogąc się ruszyć, w gęstych zaroślach leśnych w pobliżu polnej drogi. Leżałem tam całą noc. Przed świtem zauważyłem na drodze dwoje ludzi. Licząc na to, że są to Polacy, zawołałem. Nie omyliłem się – pomogli mi wstać i ukryli mnie w jakiejś szopie pod sianem we wsi Czarnucha. Opatrzyli moją ranną nogę, przynieśli mi chleb, słoninę, mleko i ryby. Ta wieś była zupełnie pusta, wszyscy jej mieszkańcy schowali się w okolicznych lasach. Ta dwójka również przyszła z lasu po zapasy jedzenia i zabrawszy je udała się tam z powrotem. Byli to młodzi ludzie – mężczyzna miał około 25 lat, a dziewczyna chyba młodsza. Na moje pytanie, jak się nazywają, mężczyzna odpowiedział, że* ***na imię ma Kazik.*** *Nazwiska swojego nie wymienił, ale do dziś pamiętam, że wspominali jakiegoś* ***Olchowskiego*** *albo* ***Folkowskiego.*** *Z jakiego powodu – nie wiem.*

Ta dwójka ludzi uratowała mi wówczas, latem 1944 roku, życie, ocaliła od nieuniknionej zguby. Pamiętam ich do dzisiaj, często wspominam, dziękuję za to, co dla mnie uczynili. Obecnie piszę powieść o naszej wspólnej walce przeciwko Niemcom hitlerowskim na polskiej ziemi. Nie mogę nie wspomnieć w niej o ludziach, którzy mnie uratowali. A nic o nich, ponad to, co tu napisałem, nie wiem. Mam jednak nadzieję, że ktoś przypomni sobie to zdarzenie i napisze do mnie. Może uda mi się odnaleźć Kazika lub jego towarzyszkę. Załączam swoją fotografię z tamtych czasów.

Władimir Iwanowicz MIERZLJAKOW

Wydarzenie, o którym pisze w swym liście Władimir Mierzljakow miało miejsce 35 lat temu. Dawno, ale przecież szperaliście już w jeszcze dawniejszej przeszłości i macie doświadczenie. Doświadczenie, które będzie pomocne w spełnieniu prośby żołnierza Armii Czerwonej, który walczył o wyzwolenie naszej Ojczyzny. Zadanie, które niniejszym Wam proponuję, skierowane jest przede wszystkim do tych członków Klubu Szperaczy, którzy mieszkają w lasach augustowskich w okolicy jeziora Czarne i wsi Czarnucha. Być może zresztą, że wieś nazywała się inaczej. Wiadomo o niej na pewno tyle, że latem 1944 roku opuścili ją wszyscy mieszkańcy, aby ukryć się w lasach.

Poszukiwać należy człowieka, który ma na imię Kazimierz. Latem 1944 roku miał około 25 lat, dzisiaj – jeśli żyje – ma lat około 60. Około, to znaczy, że również trochę mniej jak i trochę więcej. Jego towarzyszka, nieznana z imienia, będzie miała teraz lat około 55. Nie wiemy wcale, czy byli oni mieszkańcami wspomnianej przez Władimira Mierzljakowa wsi. Mogli być, ale równie dobrze mogli pochodzić i z bliższej okolicy, jak i z całkiem innego regionu kraju. Zresztą, nawet jeśli byli mieszkańcami tej wsi, nie jest powiedziane, że dzisiaj nie mieszkają w całkiem innym krańcu Polski. I dlatego **pana Kazimierza należy szukać wszędzie.** Wiemy o nim – i o jego towarzyszce – że latem 1944 przebywali w tamtym rejonie. Ten fakt jest pewny. Dlatego proponuję Wam, abyście wszystkim swoim znajomym (dziadkom, sąsiadom), którzy mają na imię Kazimierz zadali przede wszystkim pytanie, CZY PRZYPADKIEM W LECIE 1944 ROKU NIE PRZEBYWALI W REJONIE LASÓW AUGUSTOWSKICH? To samo pytanie możecie również zadać wszystkim znajomym kobietom, które dziś mają około 55 lat. Będzie to pierwsza eliminacja, bo w grę mogą wchodzić tylko ci, którzy wówczas tam byli.

Wiadomo jest również, że dwójka poszukiwanych przez Władimira Mierzljakowa ludzi znała człowieka o nazwisku Olchowski lub Folkowski. Jeśli znacie ludzi o takich lub podobnych – bo przecież nie jest powiedziane, że brzmiało ono właśnie tak – nazwiskach, a wiek ich jest również odpowiedni (powinni mieć dziś lat minimum 55, ale mogą być i znacznie starsi), też zadajcie im pytanie, CZY PRZYPADKIEM W LECIE 1944 ROKU NIE PRZEBYWALI W REJONIE LASÓW AUGUSTOWSKICH I CZY NIE PAMIĘTAJĄ KAZIKA, KTÓRY UDAWSZY SIĘ DO JAKIEJŚ WSI PO ŻYWNOŚĆ SPOTKAŁ PO DRODZE RANNEGO ŻOŁNIERZA ARMII RADZIECKIEJ?

Myślę, że jeśli wszyscy Szperacze, w całej Polsce, zadadzą te pytania, uda się nam odnaleźć pana Kazimierza i jego towarzyszkę lub przynajmniej ludzi, którzy ich znali i mogą poinformować Władimira Mierzljakowa o ich walce z okupantem i o późniejszych losach. Liczę na to, że całkiem niedługo będziemy mogli wysłać do Tomska gruby list z obszernymi na ten temat informacjami. **Z niecierpliwością czekam na wiadomości o tym, czego udało się Wam w tej sprawie dowiedzieć!** Ponieważ sprawa jest szczególnie ważna i pilna, to pisząc zaznaczajcie na kopercie oprócz mojego nazwiska również adnotację – ŚLAD PANA KAZIMIERZA. Cześć!

Profesor **WŚCIBSKI**
Szef Klubu Szperaczy

A kolejne nasze spotkanie nastąpi w sobotę, 11 sierpnia, w 9S numerze „Świata Młodych"

James B. Brenner — 14 — Opracowanie Stefania Antoniewicz

WIELCY WODZOWIE INDIAN

SATANTA

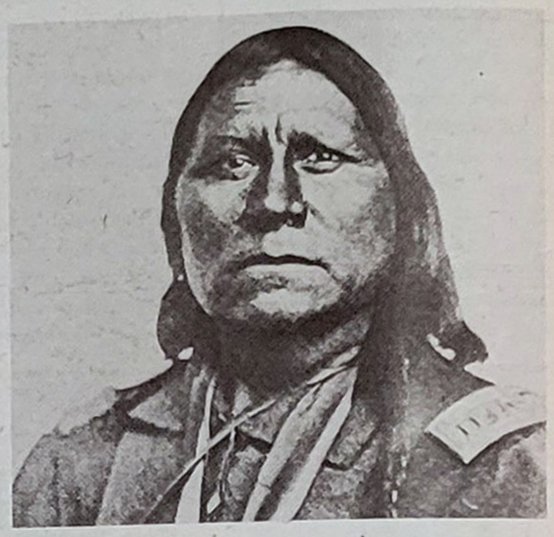

Satanta, krzepki olbrzym o kruczoczarnych i sięgających do potężnych ramion włosach, należał do plemienia Kiowa. Jego ramiona i nogi były silnie umięśnione, a z otwartej twarzy biła pewność siebie. Był doskonałym kompanem w jedzeniu i piciu, lubił również wesoły śmiech, a nawet – swoich wrogów.

Zasługą generała Custera było pojmanie Satanty, gdy ten zaproponował rozejm występując jako parlamentariusz pod białą flagą. W ten sposób, mając Satantę w ręku, generałowie Custer i Sheridan mogli ująć prawie 90 proc. całego plemienia Kiowa. Gdyby Kiowa nie poddali się, Satanta miał zginąć.

Wojsko szybko utworzyło rezerwat wzdłuż Red River, południowa Oklahoma, gdzie postanowiono nauczyć Indian uprawiania kukurydzy. Rozbawiło to bardzo Satantę, który zapytał: *„Czy to nie Indianin pierwszy nauczył białego człowieka, jak sadzić i hodować kukurydzę?"*. Jednak kiedy nadeszła wiosna 1870 r. Kiowa głodowali i rządowy przedstawiciel zezwolił na polowanie na bizony.

Od czasu kiedy Indianie zostali zamknięci w rezerwacie, biali przeprowadzili wiele zmian na dawnych terenach łowieckich. Satanta to spostrzegł, powiedział gen. Hancockowi: *„Ci żołnierze ścinają moje drzewa, zabijają bawoły, gdy to wszystko widzę to rozdziera się moje serce, jest mi bardzo przykro... Czy biały człowiek stał się dzieckiem, że lekkomyślnie zabija nie po to, aby jeść, ale dla samego zabijania? Kiedy Indianin poluje, to po to, aby żyć i nie umrzeć z głodu"*. Satanta mówił o milionach bizonów zabitych przez białych myśliwych i porzuconych po odarciu ze skóry.

Wszystko to musiało skończyć się wojną. Trwała ona aż do 8 czerwca, kiedy Satanta i większość wodzów zostali aresztowani. Satantę oskarżono o morderstwo i po trzech dniach procesu skazano na powieszenie (8 lipca 1871), lecz gubernator stanu Texas w obawie buntu Kiowa zamienił tę karę na dożywotnie więzienie. W lecie 1873 r. dzięki pomocy Lone Wolfa, członka szczepu Seneca, Satanta został uwolniony, ale już w styczniu 1874 ponownie znalazł się w teksaskim więzieniu, tym razem na stałe. Trzy lata później, tęskniąc za wolnością, Satanta rzucił się z więziennego okna ponosząc śmierć na miejscu.

Wszyscy wielcy wodzowie plemienia Kiowa zmarli lub zostali zabici, podobnie jak i ich ukochane bizony. Z 3 700 000 bizonów zabitych od 1872 do 1874 r. tylko 150 000 padło z rąk Indianina. Kiedyś, poproszony przez kilku białych, aby położył kres jatkom bawołów, gen. Sheridan odparł: *„Będziemy zabijać bizony, zdzierać z nich skórę i sprzedawać ich mięso dopóki nie znikną z powierzchni ziemi – jest to jedyny sposób osiągnięcia trwałego spokoju i postępu cywilizacji"*.

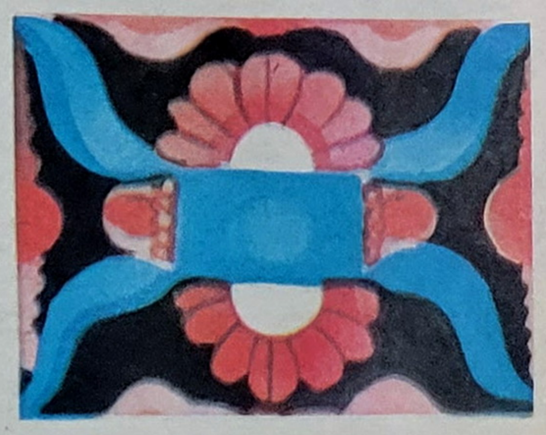

REDAKCYJNA POCZTA

Czy tak można?!

Jestem oburzona tym, co dostrzegłam w swoim mieście. Bardzo dużo mówi się o ochronie przyrody, a tymczasem w Hajnówce plakaty zaczęły się pojawiać na... drzewach. Czyżby to drzewo miało zostać słupem ogłoszeniowym?

Halina z Hajnówki

Uwaga! Zrozpaczona Tereso – podaj swój adres, ewentualnie adres, pod który możemy do Ciebie napisać.

Uwaga, „szóstka" z Jastrzębia, podpisująca się tylko imionami i inicjałami nazwisk – szybko przyślijcie adresy. Będziemy interweniować.

Przypominamy – redakcja nie może interweniować na postawie anonimów. Natomiast czytelników, którzy proszą o dyskrecję – zapewniamy, że zachowamy ją. (wm)

Ja i papierosy

Palę prawie od pierwszej klasy. Zaczęło się (wstyd się przyznać) na pętach, a teraz wypalam ponad paczkę dziennie. Wiem, że jest to bardzo szkodliwe dla płuc, które leczę. Ale po nawet drobnej sprzeczce z koleżanką lub ojcem się denerwuję. Staram się wówczas szybko wyjść i zabieram się do palenia. Bardzo bym chciała się wyzbyć tego nałogu. Może wśród czytelników znajdą się tacy, którym się to udało. Bardzo proszę o radę, co mam zrobić, żeby się oduczyć palić.

„Gab"

Czy można wierzyć tylko sobie?

Po wydrukowaniu w „Redakcyjnej Poczcie" listu Bethy i Angeliki zatytułowanego „Redakcjo, jesteś... niężyciowa" z zainteresowaniem czytałam liczne wypowiedzi moich rówieśników na jego temat. Wreszcie postanowiłam wtrącić swoje „trzy grosze". Moim zdaniem autorki tego listu nie miały racji osądzając Ciebie, Redakcjo, jako niężyciową. Postaram się swoje zdanie udowodnić. Przypuszczam, że Bethy i Angelika lub któraś z ich koleżanek napisała list do Ciebie i rozczarowała ją odpowiedź. Ale jeżeli nawet to się zdarzyło, to powtarzam, że nawet ta sytuacja nie powinna wywołać takiego sądu. Bo przecież Redakcja odpowiada na pytania tylko na podstawie sytuacji opisanej w liście. Więc jeżeli odpowiedź nie przypadła do gustu autorce, to nie można o nieżyciowość posądzić Redakcji. Np: Magda i Jola przyjaźnią się. Pewnego dnia Magda prosi Jolę, żeby poszła z nią do kina. Dziewczyna odmówiła, gdyż musiała jechać do chorej babci. Magda pisze więc do „Redakcyjnej Poczty". „Miałam przyjaciółkę, która po ośmiu latach przyjaźni zerwała ją. Co mam robić?" Odpowiedzi może być wiele, ale na pewno żadna nie zadowoli Magdy. Dlaczego? O tym powinny pomyśleć Bethy i Angelika. Oczywiście przykład jest prosty i naiwny, ale można go zmienić i podstawić inne osoby. Ale czy nawet w tym przypadku Ciebie, Redakcjo, można uważać za niężyciową?! Na pewno nie.

Jeżeli Bethy i Angelika przeczytają mój list, niech się zastanowią. Bo przecież my, młodzi ludzie, musimy komuś ufać, czyichś rad słuchać. Jeżeli przestajemy wierzyć rodzicom, przyjaciołom czy koleżankom, to co nam zostanie? Przecież całe życie nie można wierzyć tylko sobie. Zastanówcie się nad tym, Bethy i Angeliko.

„Gabi"

Indiański targ

Niska zabudowa, wąskie uliczki

...i senna atmosfera prowincjonalnego miasta

Tak wygląda jedna z figur tańca tańczonego tylko w nadmorskich departamentach Peru, tzw. marinery

Wyprawy za horyzont

LECH NIEKRASZ

Jedzie pociąg do Huancayo

Na retoryczne pytanie, gdzie nas nie ma, można odpowiedzieć i tak: jesteśmy również na Pacyfiku! My, to znaczy polska bandera, którą noszą trawlery–przetwórnie gdyńskiego „Dalmoru". Od lat ponad siedmiu na łowiskach u peruwiańskich wybrzeży Pacyfiku operuje cała flotylla tych statków, dobywając z toni płytkich wód szelfowych u Przylądka Parinas, na granicy z Ekwadorem, tysiące ton morszczuka i innych ryb.

Najciekawszy dla mnie jest w tym wszystkim fakt, iż na pokładach polskich statków spotykają się załogi dwóch nieznanych do niedawna sobie narodowości: Polaków i Peruwiańczyków. Jedni nie znają hiszpańskiego, drudzy polskiego, a mimo to już po kilku tygodniach spędzonych przy wspólnym stanowisku pracy w przetwórni, pod pokładem, doskonale się porozumiewają i to na tematy jak najbardziej fachowe, zawodowe.

Bazą naszych statków w Peru jest największy, sąsiadujący ze stołeczną Limą – port Callao, skąd wyruszają one na 5–6 tygodni na północ, pod sam równik. Po kilkunastu minutach trałowania na pokład wjeżdża w sieci góra ryb! Czasem 20, a czasem i 30 ton w jednym zaciągu. I wtedy nie ma czasu na konwersacje: kto żyw, chwyta ostry nóż i zabiera się do oprawiania ryb, które czym prędzej po zamrożeniu muszą znaleźć się w ładowni.

Dla rybaków peruwiańskich z Mancory, Etén, Chimbote, Pisco, Huacho i Callao nad Pacyfikiem mechaniczna obróbka ryb oraz ich zamrażanie na morzu były zrazu nowością. Z czasem przywykli do tej technologii i dzisiaj pracują wespół z naszymi, jakby trałowali i mrozili ryby od stuleci. Od stuleci tymczasem łowiono u wybrzeży Peru metodami rzemieślniczymi, zaś w latach 50 i 60–tych pojawiły się na tych łowiskach całe flotylle statków zwanych „bolicheras", wyławiających miliony ton ryby zwanej anchoveta, którą przetwarzano na mączkę rybną. W początkach lat 70–tych Peru łowiło już ponad 12 mln ton ryb, zdobywając pierwsze miejsce pod względem wielkości połowów na świecie, a tymczasem ryb na rynku wewnętrznym brakowało. Dopiero zawarte w roku 1971 między rządami Polski i Peru porozumienie o współpracy w dziedzinie rybołówstwa, pozwoliło podjąć połowy na cele konsumpcyjne.

Bogate w morszczuka łowiska peruwiańskie rozciągają się wzdłuż pustynnych, jak Sahara, wybrzeży Pacyfiku. Czasem statki zbliżają się do nich na odległość zaledwie 3–4 mil. I wtedy widać przez lornetkę bielejący piasek, zaś w oddali, na horyzoncie, rysują się fioletowe z tej odległości szczyty Andów.

Pozbawione z reguły przez okrągły rok opadów atmosferycznych wybrzeże, czyli – jak powiadają tutaj – costa – jest jedną pustynią. Przekonałem się o tym wędrując z Biury, na dalekiej północy peruwiańskiej, do Limy. Ponad 900 kilometrów szosy, która przebiega przez spalone słońcem miasta i miasteczka, gdzie drzewa liczyć można na palcach. Tylko w dolinach spływających z Andów rzek spotkać można łany trzciny cukrowej, bawełny i innych upraw; rosną drzewa i kwitną kwiaty. Są to swego rodzaju oazy, wokół których, jak wybrzeże długie i szerokie, ciągną się szczere piachy. A szerokość tego wybrzeża między Pacyfikiem i Andami nie przekracza chyba stu kilometrów.

Nie zapomnę nigdy w życiu portu Paita. Przylegające doń miasteczko sterczy na skraju zbliżających się do wybrzeża – suchych, koloru gliny, wzgórz. Płaskie dachy zabudowy i dosłownie kilkanaście drzewek na czworokątnym, wykładanym posadzką rynku, zwanym jak wszystkie w Peru place – Plaza de Armas, czyli Placem Broni. Taka stara, hiszpańska jeszcze tradycja. Od rana do nocy parzy słońce. W południe Paita zapada w kilkugodzinną sjestę. Tylko rankiem i wieczorem pojawiają się na ulicach przechodnie. Podobnie w Chiclayo i Trujillo, gdzie na miejscowym uniwersytecie – jakże by inaczej – spotkałem Polaka wykładającego tutaj na wydziale chemii. Prof. Władysław Bobrek nie zaniedbuje kontaktów ze swym krajem rodzinnym, odwiedzając go co parę lat. Wybrałem się koleją z Limy do Huancayo w dolinie andyjskiej, na wysokości 2,5 tysiąca metrów. Żeby tam dojechać, pociąg musi wspiąć się na wysokość ponad 4 tysiące metrów. Niedarmo szlak ten uchodzi za najwyżej położoną kolej żelazną na świecie!

Projektował ją i budował w końcu ub. stulecia nasz rodak, prof. Ernest Malinowski. Budowa ta, będąca swego rodzaju arcydziełem technicznym, zrealizowanym w surowych warunkach andyjskich kosztowała życie wielu tysięcy bezimiennych robotników, głównie Indian peruwiańskich. Chłodno tutaj i powietrze pozbawione tlenu, co przyprawia o silny ból głowy. Tylko Indianie potrafią tu żyć i pracować. Wydrążyli w litej skale 65 tuneli długości 9 kilometrów i zawiesili nad przepaściami 61 mostów, przez które biegnie dziś linia eksploatowana przez zarząd Ferrocarril Central del Peru, czyli Centralnej Kolei Żelaznej. W Peru jest oprócz niej jeszcze tylko jedna linia kolejowa łącząca południowe wybrzeże kraju z rejonami Cuzco. Transport zapewniają głównie ciężarówki i autokary, przemierzające trasy dwóch i więcej tysięcy kilometrów w trudnych warunkach andyjskich. Trudnych i diablo niebezpiecznych, gdyż szosy górskie przebiegają wzdłuż przepaści, zaś z góry spadają na głowę „husycos" (lawina wymieszanego z kamieniami błota), które spycha często autokar z pąsażerami do przepaści.

Do Huancayo pojechałem z naszymi rybakami, którym należy się w końcu jakiś relaks i odpoczynek po tygodniach spędzonych przy ciężkiej, monotonnej pracy na statkach u wybrzeży pustynnej peruwiańskiej costy.

Fot. **autora**

GWIAZDOZBIÓR

Scena z filmu pt. „Julia". W roli Julii – Vanessa Redgrave (od prawej) w roli Lillian Hellman – Jane Fonda

VANESSA REDGRAVE

w filmie pt. „Julia"

Vanessa Redgrave nie miała wątpliwości jaki wybrać zawód. Ta angielska aktorka średniego pokolenia (42 lata) pochodzi ze sławnej aktorskiej rodziny. Jej babką była aktorka Margaret Scudamore, ojcem aktor Michael Redgrave, matką aktorka Rachel Kempson, brat Colin i siostra Lynn są również aktorami. Ukończyła Szkołę Dramatyczną w Kensigton i już w roku 1957 debiutowała na scenie u boku ojca. W następnym partnerowała Paulowi Robesonowi w „Otellu", co zapoczątkowało serię jej sukcesów w repertuarze szekspirowskim. Za role sceniczne otrzymała od królowej Elżbiety II Order Imperium Brytyjskiego. Na ekranie debiutowała w 1958 roku, w kilka lat później, w 1966, otrzymała w Cannes nagrodę za najlepszą kreację, a dzięki roli w sławnym filmie Michelangelo Antonioniego „Powiększenie" (1966) zdobyła popularność w świecie. Film „Isadora" w roku 1968 przyniósł jej znów w Cannes nagrodę za najlepszą kreację, a w roku ubiegłym dostała Oskara za najlepszą rolę drugoplanową w filmie pt „Julia". Ten film nestora kina hollywoodzkiego, 70-letniego Freda Zinnemanna (reż. „W samo południe", „Dzień Szakala"), nagrodzono aż 3 Oskarami. Wraz z Vanessą Redgrave otrzymali go Jason Robards i scenarzysta Alvin Sargent. Drugoplanowa rola Vanessy Redgrave (Julia) jest rolą tytułową, choć główną bohaterką jest właściwie Jane Fonda (Lillian Hellman). Obie aktorki wypadają w tym filmie znakomicie.

Vanessa Redgrave jako Julia, konspiracyjna działaczka antyfaszystowska. Walce z faszyzmem poświęciła wszystko: życie rodzinne, przyjaźń, majątek i zdrowie. Po licznych śledztwach i zatrzymaniach przez faszystowską policję z pięknej młodej dziewczyny stała się kaleką

Scenariusz filmu powstał na podstawie autobiograficznych opowiadań współczesnej amerykańskiej pisarki Lillian Hellman, znanej z lewicowych przekonań i działalności antyfaszystowskiej. Sympatyzowała ona z republikanami w okresie wojny domowej w Hiszpanii, trzykrotnie odwiedzała ZSRR, a w latach 1950–1955 była gorącą przeciwniczką maccartyzmu, polityki prześladowań za poglądy postępowe kierowanej przez senatora J. Mc Carthy'ego. Jest autorką licznych scenariuszy filmowych i sztuk dramatycznych. W opowiadaniu „Julia" powraca do lat swojej młodości, malując portret swojej przyjaciółki. Kiedy zapytano 72-letnią pisarkę, czy się jej film podobał, odpowiedziała: *„Zawsze bardzo jest trudno ocenić film, jaki ktoś zrobi o nas, a nawet o naszej pracy. W sposób naturalny człowiek czuje się urażony wszelkimi zmianami. „Julia" podobała mi się jako całość, ale w wielu wypadkach mam bardzo poważne zastrzeżenia. W moim zamierzeniu opowieść ta miała być o wiele bardziej politycznym obrazem Julii i tamtych czasów. Moim zdaniem wielką zaletą tego filmu jest to, iż udaje mu się dowieść, że dwie kobiety mogą być sobie bezgranicznie oddane, że każda zrobi dla drugiej to, czego tamta pragnie, i uwierzy w to, nawet jeśli sama nie rozumie w pełni, czego się od niej wymaga. I to, jak myślę wynika z filmu z bardzo dobrym efektem i pod tym względem film bardzo mi się podoba."*

Istotnie film jest o przyjaźni, i to od dzieciństwa, dwóch kobiet, przyjaźni wystawionej na próbę, przyjaźni wzruszającej, przekonywającej i pięknej. Niemała w tym zasługa Jane Fondy, a przede wszystkim Vanessy Redgrave. Postać Julii – czułej, wrażliwej kobiety buntującej się przeciw nieludzkim akcjom faszystów i działającej w obronie ofiar faszyzmu w jej wykonaniu zapada nam w pamięć na długo. Aktorka obdarza Julię kobiecym wdziękiem, urodą, a jednocześnie przydaje jej męskiej konsekwencji, stanowczości i odwagi w działalności politycznej. Obie kobiety są bardzo różnymi indywidualnościami, a łączy je jedynie przyjaźń oparta na wzajemnym szacunku, a nawet podziwie dla zalet i cech charakteru partnerki. W krótkich spotkaniach nawet bez słów, jedynie wyrazem twarzy, oczu, gestem i sposobem zachowania potrafią przekazać wzajemną czułość, dowody przywiązania, a ta łącząca ich przyjaźń oddana jest tak sugestywnie, że pozostaje w świadomości widza nawet w scenach, w których obie są nieobecne. Jest to znakomite aktorstwo i bardzo dobry film. Warto go zobaczyć i przyjrzeć się uważnie Vanessie Redgrave, aktorce wprawdzie mniej u nas popularnej niż Jane Fonda, ale równie doskonałej. (bt

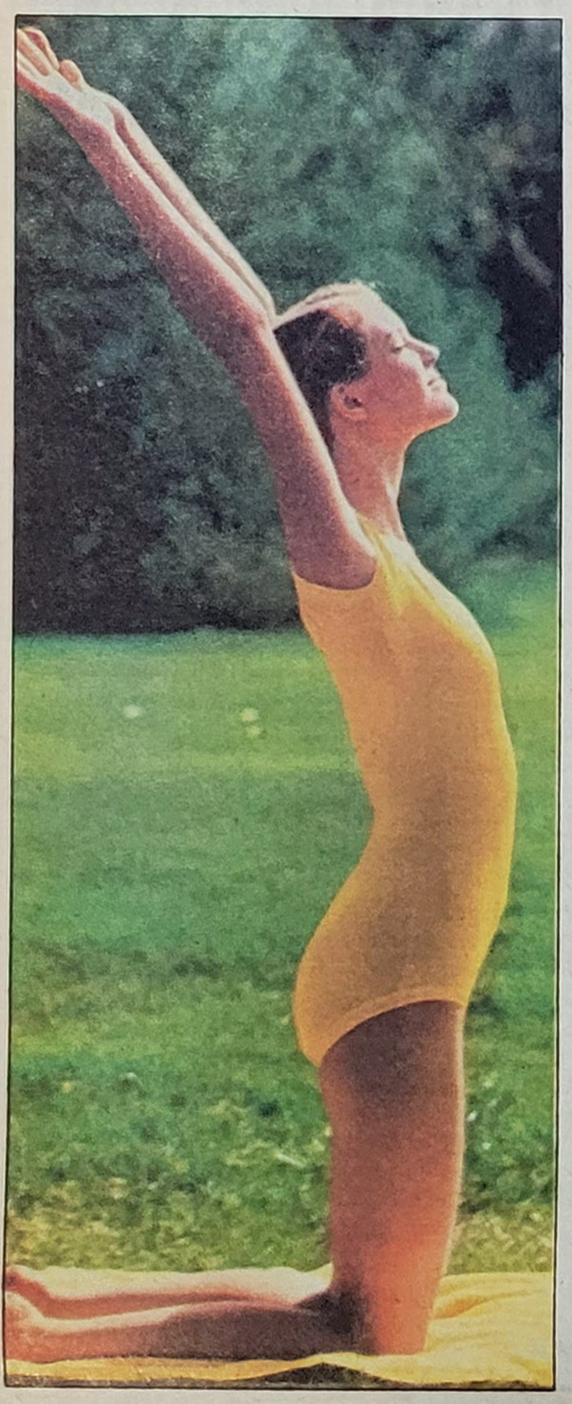

DOM MODY świata młodych

Dla kogo ta moda?

Nie powiem, żebym listów z takim pytaniem „dla kogo ta moda?" otrzymywała zbyt wiele, ale co jakiś czas się jeden albo i kilka zdarza. Ich autorki zarzucają mi, że to, co w swym kąciku proponuję, nadaje się jedynie dla dziewcząt szczupłych i zgrabnych, a one akurat są takie raczej... kluchowate. I też chciałyby ubierać się modnie, ładnie i elegancko. Ale nie wiedzą, co na siebie włożyć, bo ja, taka paskuda jedna, nic a nic odpowiedniego dla grubasek nie proponuję. Właśnie ostatnio parę takich listów dostałam. I postanowiłam odpowiedzieć na nie nie indywidualnie, lecz właśnie tu, na łamach Domu Mody. I to wcale nie z lenistwa – te z Was, które do mnie pisały, wiedzą, że jak taka potrzeba istnieje, to i parostronicową odpowiedź otrzymują – ale dlatego, że może to, co będzie tu wydrukowane, inaczej, poważniej, zabrzmi niż w prywatnym liście.

Bo ja już to wiele razy pisałam, ale... obawiam się, że nie wszystkie zainteresowane potraktowały rzecz naprawdę poważnie. A mianowicie to, że **nie ma żadnej specjalnej mody dla grubych**. Oczywiście, są rzeczy, które dla dziewcząt mniej zgrabnych są absolutnie wykluczone, a są i takie, w których dziewczyny mniej zgrabne wyglądają mniej źle niż w tamtych. Ale zawsze, w każdym absolutnie ciuchu, dziewczyna szczupła będzie wyglądała znacznie lepiej niż jej mniej szczupła koleżanka. **I na to nie ma żadnej rady! Poza jedną – trzeba starać się zrzucić z siebie niepotrzebne kilogramy i zbędne wałeczki tłuszczyku**. I można to zrobić, co prawda nie powiem, żeby bez wysiłku, ale jest to wysiłek, który się opłaci. Bo naprawdę szalenie rzadko się zdarza, aby nastolatka miała nadwagę spowodowaną czynnikami chorobowymi. W zdecydowanej większości wypadków jest to wynik fatalnych nawyków jedzeniowych (nadmiar słodyczy i potraw mącznych oraz zwyczaj najadania się za cały dzień wieczorem, tuż przed snem) oraz okropnego trybu życia – na siedząco i na leżąco, ze zdecydowanie za małą ilością ruchu. A przy ruchu, to jeszcze jedna uwaga – są dziewczyny, które niby mają go sporo, bo np. codziennie odbywają kilkukilometrowy spacer do szkoły i z powrotem, ale jest to ruch bardzo jednostronny, bo pracują przede wszystkim nogi. Więc i w takiej sytuacji nie można powiedzieć, że gimnastyka nie jest potrzebna. A właśnie do gimnastyki chcę Was namawiać. Do gimnastyki systematycznej, uprawianej codziennie i to dwa razy dziennie, rano i wieczorem, za każdym razem po ok. 8–10 minut. Aby zaś w rytm gimnastyczny wejść, proponuję wykorzystać w tym celu ostatnie dni wakacji, kiedy człowiek ma trochę więcej czasu. I najlepiej, póki pogoda pozwala, ćwiczyć w plenerze – tak jak robią to te dziewczyny na zdjęciach.

I wierzcie mi – systematyczna gimnastyka oraz wstrzemięźliwość w jedzeniu, a za rok rozpaczliwe pytanie „dla kogo ta moda?" przestanie być aktualne. **RIUSZKA**

Polifoto

Konkurs fotograficzny „MOJE WAKACJE" jest przeznaczony dla wszystkich czytelników w wieku od 16 lat. Konkurs ogłaszamy dla uczestników obozów harcerskich, Nieobozowej Akcji Letniej, kolonii letnich, międzynarodowych obozów w Polsce oraz dla wszystkich czytelników spędzających wakacje w jakimkolwiek miejscu.

Proponujemy: róbcie zdjęcia!

Fotografujcie Wasze przygody wakacyjne, zabawy, gry Waszych przyjaciół, gdy odpoczywają lub pomagają przy żniwach, małe dzieci bawiące się w zielonych przedszkolach na wsi; wykonujcie zdjęcia interesujących zajęć na obozach lub koloniach, oryginalnych totemów.

Konkurs trwa od dziś do 10 września br.

Proponujemy, aby uczestnicy obozów czy Nieobozowej Akcji Letniej okazali większe zainteresowanie FOTOREPORTAŻEM.

Regulamin konkursu:

W konkursie może uczestniczyć każdy czytelnik indywidualny i każda grupa zorganizowana jeśli:
- od dziś do 10 września nadeśle pod adresem redakcji najciekawsze zdjęcie lub fotoreportaż z wakacji;
- zdjęcia mogą być czarno-białe lub kolorowe;
- mogą być w formacie pocztówkowym 13×18 cm;
- zdjęcia nadsyłar.e indywidualnie muszą zawierać na odwrocie imię, nazwisko, adres i wiek uczestnika konkursu;
- do zdjęć nadsyłanych przez grupy zorganizowane musi być dołączone potwierdzenie organizatora obozu lub kolonii oraz adres.

Dla autorów najciekawszych zdjęć największa w kraju, Spółdzielnia Pracy Usług Fotograficznych „POLIFOTO" w Warszawie funduje NAGRODY o wartości:

Za najciekawsze zdjęcie dla uczestników indywidualnych:

I 2.000,– zł
II 1.500,– zł
III 1.000,– zł
5 wyróżnień po 500,– zł

za najciekawszy fotoreportaż dla uczestników indywidualnych:

I 3.500,– zł
II 3.000,– zł
III 1.500,– zł
5 wyróżnień po 800,– zł

za najciekawszy fotoreportaż dla grup zorganizowanych:

I 6.000,– zł
II 4.000,– zł
III 2.000,– zł
5 wyróżnień po 1000,– zł

dla najmłodszego uczestnika konkursu przewidziana jest NAGRODA SPECJALNA.

Prace powinny być nadsyłane w kopertach z naklejonym na nich emblematem POLIFOTO i dokładnym adresem redakcji: „Świat Młodych" ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Redakcja nie zwraca zdjęć nadesłanych na konkurs.

Wyniki konkursu ogłosimy w drugiej połowie września br. Autorów najciekawszych fotografii zaprosimy na nasze spotkanie z czytelnikami we wrześniu br. w Kaliszu, gdzie wręczymy nagrody. Nagrodzone zdjęcia zamieścimy na łamach naszej gazety oraz pokażemy na wystawie.

Uwaga, Jerzy Łukasiewicz z Lublina – otrzymałem zdjęcie, które według Ciebie przedstawia piorun kulisty (a może UFO?). Niestety opisane przez Ciebie warunki, w których powstało zdjęcie (wieczorne światła dużego miasta) mogły spowodować przypadkowy efekt białej plamy na czarnym tle.

Ponadto maleńki fragment negatywu, który otrzymałem wraz z odbitką, również nie może stanowić dowodu, że sfotografowałeś coś niezwykłego. Piszę o przygodzie Jurka tylko dlatego, iż może być ona pouczająca dla innych „łowców" UFO czy piorunów kulistych. W swych ocenach musicie być po prostu bardziej krytyczni.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Kącik korespondentów

Astronomią ogólną interesują się: **Dariusz Kosowski**, ul. Santocka 14b/9, 71-113 Szczecin; **Tomasz Maciąg**, ul. Buczka 7/5, 59-800; Lubań Śląski. Astronomią i astronautyką: **Janusz Długaj** (czł. PTMA), ul. Sobieskiego 17, 43-140 Lędziny; **Krzysztof Goździewski** (16 l.), 06-321 Bartniki, woj. ostrołęckie; **Piotr Sulkowski** (13 l.), 11-106 Kiwity, woj. olsztyńskie. Astronomią, UFO, życiem we wszechświecie: **Zbigniew Jastrzębski** (15 l.), ul. Nowowiejska 32, 12-160 Wielbark; **Grzegorz Prygiel**, 98-345 Mokrsko II, woj. sieradzkie; **Teodor Wilk**, ul. Wygon 6, 47-370 Zielina; **Robert Starzeć** (14 l.), ul. Mszczonowska 42, 96-100 Skierniewice. Astronomią, astronautyką, fantastyką, UFO, CETI: **Krzysztof Robak** (14 l.), ul. Okrzei 2a/2, 41-803 Zabrze 3; **Andrzej Gębala** (16 l.), ul. Cichockiego 12/13, 24-100 Puławy; **Rafał Strzelczyk** (11 l.), ul. Słoneczna 18, 12-221 Ruciane -Nida; **Andrzej Wojtków** (16 l.), ul. Ceramiczna 2, 05-800 Pruszków.

Uwaga, jeśli chcesz aby Twoje nazwisko znalazło się w kąciku korespondentów musisz podać dokładny adres (kod), krótko sprecyzowane zainteresowania oraz koniecznie swój wiek.

Oto cztery księżyce Jowisza sfotografowane przez Voyagera 1 1 – Amaltea, 2 – Europa, 3 – Io oraz 4 – Ganimedes

1

2

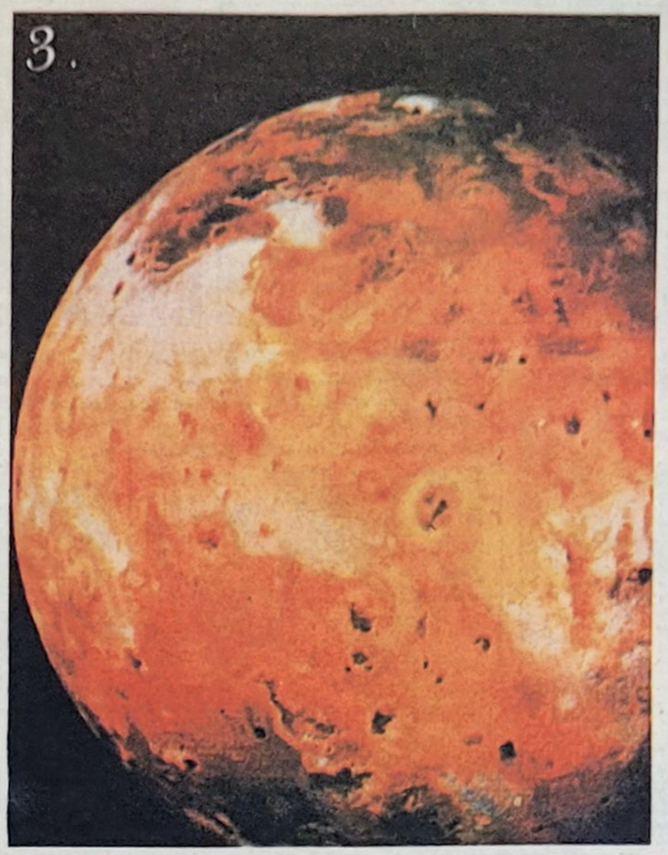
3.

4

BLISKIE SPOTKANIA CZTERECH KSIĘŻYCÓW

Komentator naukowy tygodnika „Time" nie omieszkał zauważyć, iż nawet prezydent Carter zajęty przekonywaniem Egiptu i Izraela do swoich propozycji, znalazł czas, aby zapoznać się z przebiegiem podróży statku kosmicznego Voyager-1 i efektami największego zbliżenia do Jowisza, jakie dotychczas udało się osiągnąć w dziejach podboju kosmosu przez człowieka. Przedzierając się przez warstwę chmur otaczającą gigantyczną planetę warstwą o grubości 278 tys. km pojazd kosmiczny, jak i jego urządzenia, wytrzymywał intensywne promieniowanie, wniknął w warstwę groźnych chmur burzowych i przekazał na Ziemię serię obrazów największych księżyców Jowisza. A co było najbardziej zaskakujące – odkryto przy okazji istnienie cienkiego, płaskiego pierścienia wokół samego Jowisza. Był to kolejny sukces człowieka i techniki. Voyager-1 wykonał precyzyjny skręt wokół największej w naszym układzie planety z prędkością 104 600 km/h, realizując precyzyjnie wszystkie polecenia przekazywane z Ziemi i przesunął się niemal idealnie między Jowiszem a jego księżycami. Kiedy pierwsze z rewelacyjnych zdjęć Voyagera pojawiło się na ekranie labolatorium Caltech Jet Propulsion w Pasadenie (USA) komentator naukowy Carl Sagan nie mógł w pierwszym momencie wykształsić słowa. W końcu powiedział: „To jest ponad możliwościami interpretacji naukowej. To wymaga innego spojrzenia ze strony fizyki i chemii, trzeba połączyć wszystkie siły, aby móc to wyjaśnić".

„Bliskie spotkanie" trwało 39 godzin, w czasie których Voyager-1 przesłał na Ziemię ogromne ilości danych, które zapełniły kilometry komputerowych taśm, dając naukowcom zajęcie na całe lata. Ale równocześnie Voyager-1 dokonał odkrycia nowego, nie znanego bliżej świata. Płonące wszystkimi odcieniami tęczy, upstrzone dziwnościami zdjęcia księżyców Jowisza wywołały „achy" i „ochy" wśród najbardziej sceptycznie nastawionych naukowców.

Centrum tego swoistego minisystemu przypominającego nasz układ słoneczny jest potężny Jowisz otoczony 13 lub może 14 księżycami. Cztery największe z nich to Io, Europa, Ganimedes i Callisto, zwane też – na cześć ich odkrywcy – księżycami Gallileusza. Ze względu na swe rozmiary i odległość od Ziemi są trudne do tradycyjnej obserwacji teleskopami. Zdjęcia Voyagera ukazały je nie tylko w całej krasie, ale uwidoczniły różnice między nimi, szczególnie w powierzchniach, które są różne w zależności od składu chemicznego i wieku planety.

Powierzchnia księżyca Callisto jest pokryta kraterami powstałymi na skutek bombardowania meteorytami przez 4 mld lat, bo na tyle ocenia się wiek tej planety. Chociaż Callisto nie ma na powierzchni większych gór, to jego cechy nie przypominają żadnego z dotychczas poznanych ciał niebieskich. Wygląd zewnętrzny tego księżyca naukowcy interpretują tak: grzbiety powstały wskutek uderzeń dużych meteorytów, natomiast ciepło upadku topiło warstwę zlodowaciałej ziemi i w tym miejscu następował obfity wypływ wody, która natychmiast znowu zamarzała. Stąd na powierzchni Callisto dużo potężnych „jęzorów".

Sąsiedni Ganimedes, podobnie jak Callisto powstał na poły z wody i lodu. Widać na nim faliste grzbiety górskie i przecinające je poprzecznie przełomy wyglądające jak ziemskie, ogromne wąwozy, które powstały wskutek księżycowych trzęsień... wodnych. Powierzchnia Ganimedesa jest mniej porytа meteorytami, gdyż liczy „zaledwie" miliard lat.

Tak się złożyło, że Voyager-1 przeszedł dość daleko od Europy, drugiego księżyca Galileusza, ale te niepowodzenia Voyager-1 wynagrodził zdjęciami ze spotkania z Io, najbliższym Jowisza jego dużym księżycem. Wspaniały czerwono-pomarańczowy Io jest tak samo cudownie tajemniczy jak jego „przełożony" Jowisz. Niecodzienny widok rozległych płaskowyży, wysokich masywów górskich i gigantycznych wąwozów wzbudza niekłamany zachwyt. Na księżycu Io jest jeden ogromny i prawdopodobnie ciągle aktywny wulkan o średnicy krateru ok. 50 km. To wszystko składa się na obraz powierzchni, którą naukowcy nazwali „Pizzą na niebie". Lecz równocześnie – co stwierdzono z dużym zaskoczeniem – powierzchnia Io, ze względu na jego młody wiek (10-100 mln. lat) jest zadziwiająco gładka.

Voyager-1 przeszedł także blisko Amaltei, najbliżej Jowisza położonego księżyca, którego widziano dotychczas z Ziemi w kształcie świecącego łebka od szpilki i który najbardziej fascynował astronomów. Teraz wiadomo, iż ten księżyc to dość dziwnie wydłużony obiekt o 130 km wysokości i 220 km długości. Ale najbliżej nieoczekiwane wyniki uzyskano z obserwacji strumienia ciał znajdujących się wewnątrz orbity Amaltei. Szczęśliwie wcześnie zaprogramowano otwarcie migawki kamery na 11,2 sekundy – chociaż nikt nie brał poważnie możliwości skorzystania z tego – na wypadek konieczności obserwacji dalekich obiektów. Dzięki tak długiej ekspozycji udało się odkryć wokół Jowisza pierścień składający się z drobnych skał. Odkrycie to było tak zaskakujące, iż NASA wstrzymała podawanie tego faktu do publicznej wiadomości dopóki zespół ekspertów po dłuższej analizie nie potwierdził pierwotnych hipotez.

Do niedawna Saturn był uważany za jedyną planetę posiadającą pierścienie. W 1977 teoria ta zachwiała się po odkryciu pierścienia wokół Urana. Wprawdzie Jowiszowi przyglądały się wcześniej Pioneery 10 i 11, ale obecnie łatwo można wyjaśnić dlaczego nie zauważyły pierścienia. Jest on bowiem jak na kosmiczne odległości cienki jak papier, gdyż ma zaledwie kilomter grubości. Jak i inne kosmiczne wyprawy, tak i Voyager-1 przyniósł sporo nowości, ale dużo starych pytań pozostało bez odpowiedzi. Jego lot i zdjęcia umożliwiły głębsze spojrzenia na Wielki Czerwony Punkt jakim jest Jowisz, ale nie przyniosły odpowiedzi przyczyn istnienia huraganowego obszaru, w którym wiatry wieją z szybkością 360 000 km/h.

Dariusz Lange,
97-630 Działoszyn

Gruzów nie brak w Warszawie, są wszędzie. Bronek wciska wiadro i bańkę w jakieś załamanie w murze i zasłania cegłami.

– Tylko żebyśmy potem znaleźli to miejsce – martwię się, bo w domu nie ma nic innego do noszenia wody.

– Spokojna głowa. Trafiłbym nawet po ciemku. Niedawno była tu kawiarnia. Gazety szły jak woda. Teraz nawet szyldu nie ma.

Przeskakujemy koło barykady, którą od czasu do czasu ostrzeliwują niemieckie karabiny maszynowe, napełniając ulicę hukiem i gwizdem. Potem schyleni biegniemy pod ścianą. Gdy kończy się kamienica, Bronek skręca w cichą uliczkę, prawie niezburzoną. Huki wystrzałów nie są tak tu głośne. Na środku jezdni stoi grupka powstańców nachylona nad otwartym włazem, obok parę sanitariuszek z noszami. Bronek naturalnie ma tu swojego znajomego, bo podchodzi prosto pod sam właz i salutując palcami do swojej gazeciarskiej czapki, pyta:

– Panie kapitanie, czy wychodzili już żołnierze z „Parasola"?

– Nie. Czekasz na kogoś?

– Ja nie. Ale kumpel niepokoi się. Jego siostra jest w tym oddziale.

– Ze Starówki ciągle przychodzą. Ale tych z „Parasola" jeszcze nie było. Czekamy na nich.

– Widzisz? Może zaraz zobaczysz siostrę.

– Panie kapitanie – zwraca się jeden z powstańców. – Coś długo ich nie widać. Może zabłądzili?

– Nie krakać, nie krakać. Mają dobrych przewodników, będą tu wkrótce.

A widząc moją minę, kapitan podchodzi, bierze mnie za ramiona i lekko potrząsa.

– Na pewno zaraz zobaczysz siostrę. – Po czym zwraca się do pozostałych powstańców: – Będę w dowództwie. Jak tylko zaczną wychodzić, natychmiast mnie zawiadomić.

– Rozkaz, panie kapitanie – odpowiadają chórem.

Siadamy z Bronkiem na krawężniku i obserwujemy czarny otwór włazu. Bronek nie może spokojnie usiedzieć. Pertraktuje z powstańcami, by go wpuścili do kanału.

– Zobaczę tylko czy idą. Zaraz wrócę – przekonuje powstańców.

– Nie wolno nikomu wchodzić. Taki jest rozkaz.

– Pan kapitan by pozwolił.

– Nie zawracaj głowy, rozkaz jest dla wszystkich. Siedź spokojnie i czekaj.

– Zejdę tylko na dół.

– Do diabła. Cisza. Chyba idą – krzyczy stojący najbliżej włazu żołnierz.

Zrywam się i podbiegam do wąskiego, okrągłego otworu, otaczają go wszyscy.

– Nie zasłaniajcie, odejdźcie dalej – rozkazuje jeden z powstańców.

Powoli ukazuje się głowa w nasuniętym prawie na oczy hełmie. Patrzy na nas i zmęczonym, zachrypniętym głosem pyta:

– Śródmieście?

Powstańcy podbiegają i łapiąc go pod ramiona wyciągają z włazu. Młody żołnierz ubrany w trawiastego koloru bluzę, ściągniętą mocno paskiem, ledwo stoi na nogach. Całe spodnie i buty ociekają ciemną, cuchnącą mazią. Błędne oczy patrzą na wszystkich półprzytomnie. Ciężar przewieszonego na szyi pistoletu pochyla go do ziemi. Sanitariuszki chcą położyć go na nosze, ale chłopak wzbrania się i siada na krawężniku. Jest tak blisko mnie, że widzę dokładnie mały, otwarty, czerwony parasol z filcu naszyty na jego lewym ramieniu. Nie mam odwagi pytać go o Malinę. Widzę jak ciężko oddycha. Zdjął hełm, zamknął oczy i wtula głowę w ramiona, jakby chciał na chwilę zapomnieć o tym, co niedawno przeszedł.

Z włazu wychodzą następni – chłopcy i dziewczęta – wszyscy ubrani w niebieskie bluzy w brązowo-zielone plamy. Wyglądają strasznie. Jest ich coraz więcej. Sanitariuszki natychmiast zmieniają im opatrunki. Prawie wszyscy, którzy wychodzą z kanału, są ranni.

Naraz z włazu wychodzi dziewczyna w takiej samej bluzie jak chłopcy, zamiast spodni ma granatową spódnicę. Gazeciarz jest już przy niej, pomaga jej wyjść i o coś pyta.

– Laluś, Laluś! – krzyczy Bronek.

Zrywam się i biegnę do nich. Jeszcze ciągle nie mogę jej poznać. Dopiero gdy widzę znajome oczy, rzucam się jej na szyję, nie zważając na błoto, którym jest cała oblepiona. Trochę wstydzę się tego, ale czuję, że łzy zaczynają lać mi się ciurkiem, wciskam więc jak najszczelniej twarz w jej ramiona.

Wrześniowy dzień zszarzał. Zmrok wciska się w wypalone i zburzone domy, przykrywając je jak zasłoną. Wszędzie unosi się charakterystyczny ostry zapach spalenizny. Miasto płonie.

Cdn.

Jonka, Jonek i Kleks na wakacjach

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA PANIEL

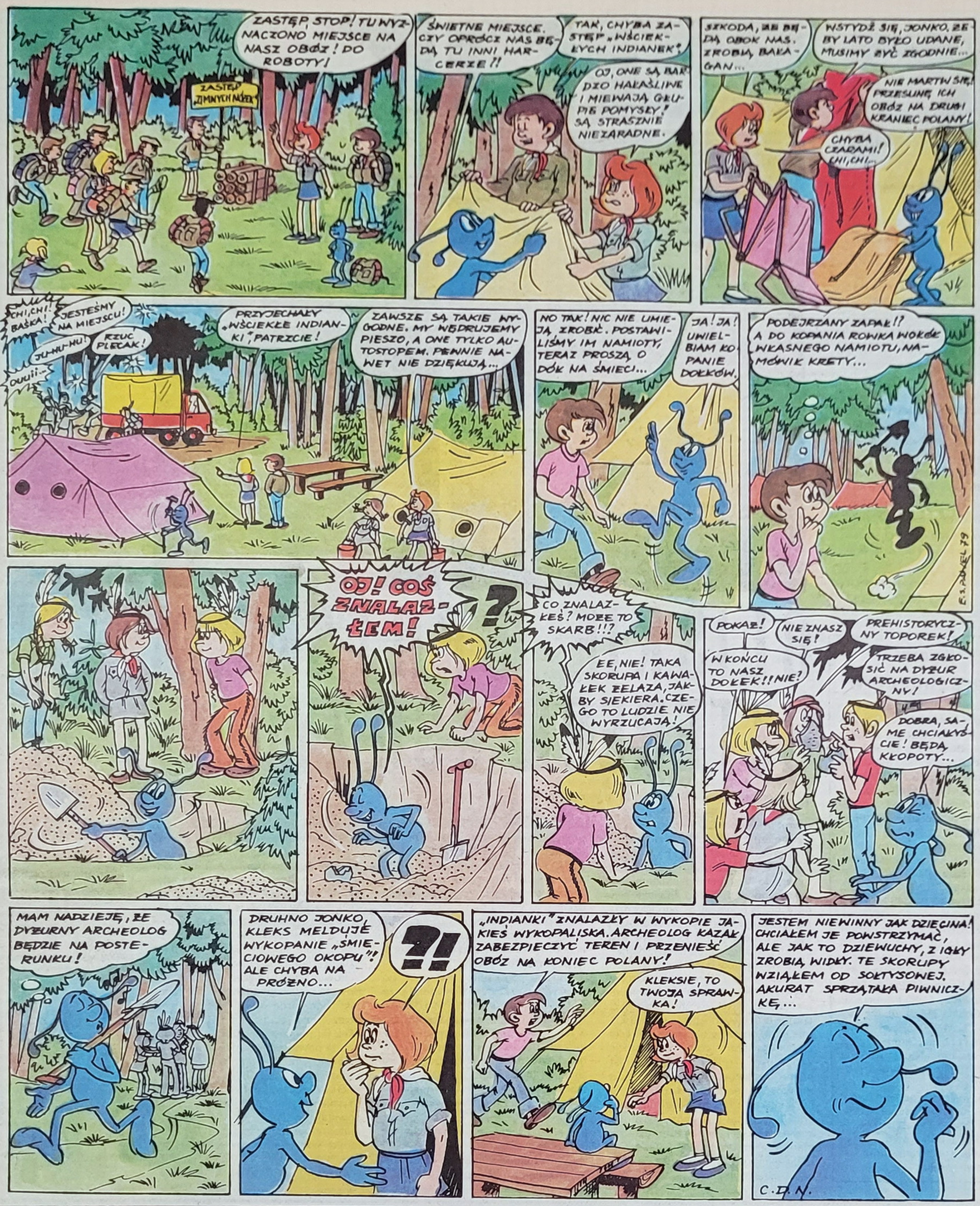

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 031155691).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:
Red. naczelny: 21-15-61
Sekr. redakcji: 28-25-48
Dział łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX – 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Kosiarkowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji szkół w miejscowościach, gdzie nie ma pełnomocników delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od indywidualnych prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne: Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne: Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 4853/G C-104

NIE ZAPOMNIJ Oto NASZ POCZTOWY KOD 00-561 00-561

W następnym numerze znajdziecie:

- Wszystko o lodach
- Opowieść o szklanych skarbach Morza Egejskiego sprzed tysiąca lat
- „Szare" wspomnienie gospodarzy jednego z harcerskich obozów
- Fotoreportaż o Wojciechu Fibaku

Podczas nalotów wszyscy zbiegają do piwnic. Nawet powstańcy. Ja jednak i tam nie czuję się bezpiecznie. Ściany podczas bombardowania przypominają czasem fale na morzu tak się ruszają. Wczoraj przysypało jednego z naszej paczki – Staszka. On bardzo bał się nalotów i zawsze pierwszy zbiegał do piwnicy. Jego rodzice przenieśli się do podziemia Filharmonii, spalonej jeszcze podczas oblężenia Warszawy w 1939 roku. Byli przekonani, że Niemcy nie będą bombardować ruin. Przysypało wszystkich. Nikt się nie uratował. Boję się nalotów, a jest ich teraz tak dużo. I boję się przysypania. Ale czy można bez przerwy się bać?

Łącznicy, którzy przechodzą kanałami ze Starego Miasta, mówią, że u nas w Śródmieściu jest jeszcze nie najgorzej. Na Starówce nie ma już ani jednego całego domu. Niemcy nacierają ze wszystkich stron, a naszym brakuje amunicji. Mają jedynie karabiny, pistolety i granaty przeciwko czołgom, samolotom, artylerii. A właśnie tam jest moja siostra Malina. Jest łączniczką w harcerskim batalionie „Parasol". Właśnie wczoraj się o tym dowiedziałem.

Z Bronkiem spotykamy się codziennie, jak nie w bramie, to w kolejce po wodę. W sąsiedniej piwnicy jest jedyna w okolicy studnia. Służba porządkowa wydaje tylko po pół kubełka wody, a mimo to czekać trzeba nieraz wiele godzin. W kolejce po wodę można zdobyć najświeższe wiadomości. Niestety, nie zawsze są one prawdziwe. Od paru dni panuje w Śródmieściu względna cisza. Ludzie różnie to sobie tłumaczą.

– A ja panu mówię, że zabrakło im bomb, dlatego nie ma nalotów.

– Ale z pana znawca – oburza się ktoś inny. – Lepiej nie gadać takich głupstw. Nie słyszał pan, co się dzieje na Starówce? Bez przerwy bombardują. Wykończą jedną dzielnicę, to się wezmą za nas.

– Tam już chyba nikt nie żyje – mówi jakaś staruszka.

– Co też pani mówi. Nasi tam walczą.

– Tak, tylko że tych naboi już nie ma – jeszcze jeden głos wtrąca się do rozmowy.

Bronek bierze mnie za ramię.

– Laluś, co ci jest? Słabo ci?

– Nic mi nie jest. Moja siostra jest na Starówce.

– Nic o niej nie wiesz?

– Od wybuchu powstania nie odezwała się.

– Ojej, pewno nie miała czasu – Bronek stara się mnie za wszelką cenę pocieszyć. – A wiesz chociaż w jakim jest oddziale?

– W „Parasolu".

– No to zaraz się o niej coś dowiemy. Nie martw się na zapas.

Bronek zaczyna błyskawicznie działać, jak zawsze. Zdejmuje zamaszyście czapkę, robi głęboki ukłon w stronę pani, która stoi za nami.

– Pani nas pamięta. Prawda? My zaraz wracamy. I nie czekając na zgodę, szarpie mnie za rękaw, wyciągając z ogonka.

– Gdzie lecisz, Bronek?

– Zobaczysz.

– Cukrem mnie nie pocieszysz.

– Nie idziemy po żaden cukier. Tu niedaleko jest właz kanalizacyjny. Oddziały powstańców kanałami wycofują się ze Starego Miasta. Chodź, na pewno dowiesz się czegoś o twojej siostrze.

– Kanałami? – Nie mogę wprost uwierzyć.

Bańka, którą mam w ręku przeszkadza mi biec, obija się o nogi, takie same kłopoty ma Bronek ze swoim wiadrem.

– Dawaj, po kiego diabła będziemy to wlec, schowamy te graty w gruzach. Weźmiemy wracając.

Dokończenie na str. 7